Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1890. Rok XIII



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 6 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Łowiectwo na półwyspie Skandynawskim.

(Wedle relacyi E. Hemberga.)

Skandynawia, owa „Ultima Thule“ starożytnych, ten „kraj słońca o północy“, jak go Du Chaillu nazywał, rozciagający się przez 16 stopni szerokości geograficznej i przedstawiający wielką rozmaitość stosunków klimatycznych — ten kraj jasnych nocy letnich, górskich jezior, szumiących wodospadów, przepastnych borów i śnieżnych szczytów — jest krajem dla myśliwca wielce ciekawym.

Turyści europejscy przebiegają różne stolice kontynentu, lecz rzadko który zapędzi się do „północnej Wenecyi“, do Sztokholmu — wielu wspina się na szczyty Alp, lecz rzadko który zwiedza poszarpane skały przylądka Północnego, lub ogląda ze szczytu Awasaksa tarczę słoneczną o godzinie duchów.

Wspaniałe obrazy i wzruszające do głębi sceny natury, obfitość i rozmaitość zwierzyny łownej, nietknięte jeszcze nogą ludzką bory, trudności z którymi walczyć potrzeba — wszystko to czyni Skandynawię krajem dla łowca pożądanym. To też łowiectwo jest wysoko trzymane i poważane między ludnością skandynawską. W południowych częściach półwyspu uprawiają je z całym komfortem europejskim wyższe sfery towarzyskie — na północy zaś każdy chłop, osadnik czy Lapończyk, jest zręcznym myśliwym, a myśliwstwo jest dlań nietylko obroną przed drapieżcami, ale także źródłem niemałego dochodu.

W dobrach koronnych, gdzie już i lasy objęte są racyonalną gospodarką leśną, prawo polowania zastrzeżono królowi; w takich wszakże królewszczyznach, gdzie gospodarstwo leśne jest nieuregulowane, wolno polować każdemu Szwedowi. Toż samo odnosi się do „skjärów“, t. j. przelicznych wysp, rozsianych wzdłuż wybrzeży półwyspu Skandynawskiego. W wielu zaś dobrach koronnych czy prywatnych, dzierżawione jest polowanie, a prawa dzierżawcy określone są ustawami łowieckimi, które Szwecya i Norwegia posiadają.

Czynsz dzierżawny polowań w lasach koronnych bywa wcale nie wielki. Toż samo nie wiele kosztują dzierżawy polowań na gruntach włościańskich, które częstokroć znaczną zajmują przestrzeń. Anglicy od wielu już lat dzierżawią prawo polowania w różnych okolicach półwyspu, szczególniej tam, gdzie przebywają pardwy. Czynsz dzierżawny, który płacą, wynosi rocznie 2 do 6 oerów ($1^1/_4$ do 4 centów) od hektara dzierżawionego obszaru. Za tę cenę dzierżawi kilku angielskich lordów prawo polowania na przestrzeni wielu mil kwadratowych. W układach tego rodzaju pośredniczą stowarzyszenia turystów w Sztokholmie lub Chrystyanii. Chwilowe wycieczki myśliwskie w górskich kniejach lub na przybrzeżnych „skjärach“ są przybywającym łowcom bez wszelkiej opłaty dostępne.

Warunki przebywania w myśliwskich terytoryach Skandynawii nie są także zbyt uciążliwe. Schludna izba z prostym bardzo, lecz dla niewybrednej natury myśliwskiej wystarczającym wiktem, który się składa z chleba, mleka, masła, kartofli i ryb, nie kosztuje u osadnika więcej niż 1 koronę i 50 oerów, t. j. 1 zł. w. a. dziennie. Tyleż płaci się od konia za milę dziesięciokilometrową lub transport łodzią. Przewodnik bierze półtory lub 2 korony dziennie.

Pomimo obfitości zwierzyny łownej różnego rodzaju, naznaczają ustawy łowieckie półwyspu Skandynawskiego czas ochrony dla zwierząt łownych. Między Szwecyą a Norwegią zachodzą pod tym względem znaczne różnice, a oprócz tego obowiązują w niektórych prowincyach specyalne przepisy co do polowania na łosie, jelenie i kaczki edredonki. Na ptaki błotne, słonki, dubelty i kszyki jest polowanie w Norwegii przez cały rok dozwolone. Z pomiędzy ptaków pływających są szczególnie kaczki edredonki, a w Szwecyi także łabędzie ustawą chronione.

Kalendarzyki łowieckie obu rzeczonych krajów przedstawiają się jak następuje:

W Szwecyi:

(Pole □ oznacza czas polowania, pole ■ czas ochrony.)

Rodzaj zwierzyny	Miesiąc											
	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listopad	Grudzień
Łoś	■	■	■	■	■	■	■	■		■	■	■
Dziki ren	■	■	■	■	■	■	■	■				
Sarna	■	■	■	■	■	■	■	■				
Jeleń	■	■	■	■	■	■	■	■				
Zając, głuszec, cietrzew, pardwa górna i właściwa		15 ■	■	■	■	■	■	■ 10				
Kuropatwa	■	■	■	■	■	■	■	■	■ 10		11 ■	■
Słonka		■	■	■	■ 16							
Bekas, łabędź, kaczka			16 ■	■	■	■	■ 10					
Kaczka edredonka . .				24 ■	■	■	■ 10					

W Norwegii:

Rodzaj zwierzyny	Miesiąc											
	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listopad	Grudzień
Łoś i bóbr	■	■	■	■	■	■	■				■	■
Dziki ren	■	■	■	■	■	■	■	■ 14			■	■
Jeleń	■	■	■	■	■	■	■	■	■ 14		■	■
Zając						■	■	■ 14				
Głuszec, cietrzew, jarząbek, pardwa					15 ■	■	■	■ 14				
Kury głuszców i cietrz.			15 ■	■	■	■	■	■ 14				
Kuropatwa	■	■	■	■	■	■	■	■				
Kaczka edredonka . .				15 ■	■	■	■	■ 14				

Królem lasów skandynawskich jest niedźwiedź *(Ursus arctos)*, większy od niedźwiedzia alpejskiego i karpackiego, dochodzący do 340 kilogramów wagi. Łowy na niego odbywają się pospolicie dopiero w porze zimowej, gdy już się ściągnął do gawry. Gdy kto gawrę z niedźwiedziem wynajdzie, pospiesza z wiadomością i prosi, aby o tem głoszono z ambony w kościele, a wówczas prawo jego do obtropionego niedźwiedzia jest przez innych szanowane i ustawą krajową zabezpieczone. Prawo to sprzedaje czasem szczęśliwy odkrywca niedźwiedzia zapalonym myśliwym i dostaje za nie 100 i 200 koron, co w razie szczęśliwych łowów nie jest zbyt drogo opłacone, bo futro same warte jest 100 do 160 koron, a państwo płaci 50 koron tytułem premii za ubicie niedźwiedzia. Pozostaje prócz tego wartość mięsa, które, czy to wędzone czy w inny sposób przyrządzone, pojawia się i na pańskich stołach.

Ponieważ jednak łowy na niedźwiedzia z niebezpieczeństwami są połączone, a zawsze bardzo nużące, bo nieraz trzeba w „nartach“ (trzewikach do śniegu) duże przestrzenie śniegu przebywać, wymagają więc wprawnych i zahartowanych myśliwych.

Późnej jesieni wychodzi niedźwiedź na wyżej położone tundry i moczary „fieldów“ (płaskowyży) górskich, gdzie zjada jagody rosnącego tam obficie gatunku malin *(Rubus chamaemorus)* i bagnówki *(Empetrum nigrum)*. Tutaj zasiada na niego Lapończyk i nieraz ubija go za pomocą fuzyjki przez siebie samego wykutej, kalibru 5 do 6 milimetrowego, oraz oszczepu z wybornym grotem stalowym. Czołgając się na brzuchu, podchodzi mysia na strzał i zazwyczaj wybornie go trafia, ponieważ jednak pocisk bardzo jest mały, rzadko kiedy pada niedźwiedź na miejscu. Często po strzale umyka. Wówczas Lapończyk wraca do swojej „käty“ (namiot ze skór) i wziąwszy stamtąd psy, puszcza się za farbą, a gdy psy niedźwiedzia wystawią, drugim strzałem go dobija. Trafia się wszakże, że niedźwiedź zamiast umykać rzuca się na Lapończyka. Wtedy rozpoczyna się walka na śmierć lub życie, a rozstrzyga o tem użycie oszczepu, który myśliwy o ziemię opiera, do prawego boku mocno przyciska i grotem ku niedźwiedziowi nastawia. Następuje jedno z dwojga, albo śmiertelny uścisk niedźwiedzia, albo równie śmiertelne nadzianie go na włócznię.

Drugiem zwierzęciem wielce ciekawym i dla stref tych charakterystycznem jest rosomak *(Gulo borealis)*. Wielkości średniego psa, brunatno-czarny, z krótkim puszystym ogonem, zły a krwi chciwy, staje się on plagą stad renich. Z szczeliny skały lub z gałęzi drzewa, na której się przyczaił, rzuca się jednym skokiem na rena i przegryza mu tętnicę na szyi.

Podobnie jak inne łasicowate, dusi rosomak o wiele więcej, niż mu do wyżywienia potrzeba. Boi się go też zarówno ludność osiadła, jak i przenoszący się z miejsca na miejsce Lapończycy. Tu i owdzie uda się ubić rosomaka w lecie, właściwe wszakże polowania na niego można dopiero w porze zimowej urządzać. Uganiają się za nim — chociaż nie bardzo chętnie — Lapończycy. Znalazłszy trop, ścigają go dopóty, dopóki rosomak nie schroni się na drzewo, lub nie zatrzyma się na jakiej skale do obrony — i wtedy doń strzelają. Łowy to bardzo męczące i wymagają wielkiej wprawy w bieganiu na nartach.

Przy jesiennych polowaniach z psami na zające, trafia się nieraz, że psy zaczną gonić rosomaka. Młody rosomak wyjdzie w takim razie czasami na strzał, ale stary rzuca się zaraz w załomy skał i niknie w ich szczelinach. Gdy jednak psy są dobre i nie zejdą z tropu, wówczas zdarza się nieraz, że rosomak wyskakuje na stromą, niedostępną skałę i tam go psy wystawiają. Myśliwy usłyszawszy, że psy w miejscu głoszą, biegnie przez złomy i skały i ubija rabusia celnym strzałem.

Rosomak pomiata na wiosnę, gdy jeszcze śniegi na metr wysokie leżą w dolinach. Wówczas Lapończyk, idąc za tropem, odnajduje łatwo legowisko rosomaków w norach skalnych. Jest to pora, w której stada przyswojonych renów

zaczynają przechodzić z lasów ne wyżej położone fieldy górskie. Idzie przy nich Lapończyk, uzbrojony nieodłączną pukawką i włócznią. Rosomaki kręcą się wówczas na około stad renich, aby zdobyć żywność dla młodych. A jeśli się zdarzy, że jaki ren został zagryziony, wtedy Lapończyk idzie za tropem łatwym do rozpoznania, gdyż rosomak wlecze z sobą kawały mięsa dla młodych, i zasiadłszy koło nory, ubija wchodzące lub wychodzące stare, następnie zaś młode rosomaki wykopuje z nory. Skarb państwa płaci po 25 koron tytułem premii za ubicie rosomaka, czyto starego czy młodego.

Młode rosomaki, schwytane żywcem, oswajają się łatwo, biegają wolno, i chętnie z psami igrają. Gdy jednak zupełnie wyrosną, stają się dziksze i tak psom dokuczają, że je trzeba w końcu zastrzelić.

Niebezpieczniejszym w Skandynawii od rosomaka jest wilk, nietylko bowiem bydło, lecz i ludzi napada. Szczególnem to jest zjawiskiem, że w XVIII. stuleciu był wilk na całym półwyspie rozpowszechnionym, potem w pierwszej połowie XVIII. wieku stał się nadzwyczaj rzadkim, znikł niemal zupełnie, i znów dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku zaczął się gęściej pojawiać i do połowy bieżącego stulecia zalewał Skandynawię, stawszy się prawdziwą jej plagą. Od czterdziestu lat nastąpiła znowu zmiana; z południowej części półwyspu znikł ów drapieżca i trafia się tylko tu i owdzie w górskich kniejach, skąd czasami łupieskie swe wyprawy w bardziej zamieszkane okolice urządza.

Lapończyk, hodujący reny, jest zaciętym nieprzyjacielem wilka. Jeśli się zdarzy, iż w zimie, gdy reny bywają w stada spędzane, porwie wilk jakiego rena, zaopatrują się dwaj Lapończycy w żywność, biorą włócznie i lecą na nartach za tropem łupiezcy. Przez fieldy i tundry, przez knieje i gęstwiny idzie pogoń nie zbyt pospiesznie i gwałtownie, ale wytrwale. Skoro wilk zmiarkuje, iż jest ścigany, umyka szparko i puszcza się przez górskie płaskowyża, gdzie twardy, zbity śnieg wybornym jest dla niego terenem. Po całodziennej pogoni, skoro się okazała nadaremną, biegnie dalej tylko jeden z myśliwych za tropem, drugi zaś udaje się do najbliższego koczowiska Lapończyków, i ztąd wyrusza dwóch nowych myśliwych, ażeby zastąpić zmęczonych i puścić się dalej za tropem wilka. W ten sposób pościg jest bezprzestannym, odbywa się dniem i nocą, przy świetle zorzy północnej, aż w końcu wilk, wygłodzony i nie mający chwili wolnego spoczynku, usiłuje schronić się lub zmylić w lesie pogoń. Skutkiem tego spuszcza się z fieldów niżej, w doliny i w lasy, lecz tu natrafia na miękki, świeży śnieg, który się grobem jego staje. Dopóki basior idzie, łatwo mu jeszcze brnąć w śniegu, lecz prześladowcy jego zbliżają się coraz bardziej, odległość między zwierzem a myśliwcami staje się coraz mniejszą. Wtedy wilk wytęża resztę sił i stara się skokami umykać, ale to jest jeszcze gorzej, gdyż całem cielskiem zapada w miękki śnieg i z trudnością się z niego wydobywa. Ślad owych rozpaczliwych usiłowań na śniegu jest dla Lapończyków hasłem do ostatecznego ataku. Przyspieszają kroku, napadają na basiora z obu stron i zakłuwają go włóczniami.

W przeważnej części półwyspu Skandynawskiego przebywa i ryś, chociaż nigdzie nie jest zbyt rozpowszechnionym. Rzuca się on na sarny, także na cielęta łosiów, a nie małą szkodę wyrządza również między stadami owiec i kóz domowych. Na rysia polują z gończakami, przed którymi czasem i kilka kilometrów umyka, zanim się schroni na drzewo. Gdy go psy na drzewie wystawią, wtedy myśliwy podszedłszy, strzela doń. Przed strzałem uczyni roztropnie, wziąwszy psy na smycz, gdyż spadający z drzewa, chociażby śmiertelnie ugodzony ryś, ma jeszcze w sobie tyle siły i wściekłości, że zbliżające się doń psy rozdziera.

Specyalnym okazem kniei skandynawskich jest lis górski *(Canis lagopus)*, biały lub niebiesko-szary. Przebywa on wyłącznie na płaskowyżach górskich, chociaż nieraz odbywa wędrówki w doły, aż do południowych prowincyj półwyspu. Odznacza się on zarówno chytrością jak i trwożliwością, połączonymi dziwacznie z ciekawością i zuchwalstwem. Polują na niego z bronią palną, buszując po stokach górskich, lub nastawiając żelaza. Futerko lisa górskiego jest tanie i bywa używane na piękne kobierczyki pod nogi.

Prawdziwą ozdobą lasów skandynawskich i największem z zwierząt ssących półwyspu jest łoś.

Tępienie wilków i czas ochrony, przepisany ustawą, przyczynił się niepospolicie do rozmnożenia tego zwierzęcia łownego tak na południu jak i na północy Skandynawii. Dość powiedzieć, że n. p. w lasach skarbowych Hunneberg, niedalcko sławnych wodospadów pod Trollhaeten, ubito na jednodniowem polowaniu, na przestrzeni około 5.000 hektarów, 62 sztuk łosi.

Łoś trzyma się wielkich puszcz leśnych, przerzynanych częstokroć rozległymi moczarami. Na tych moczarach, pomiędzy wierzbami, jarzębiną i innymi drzewami i krzewami szuka pożywienia. Tutaj toczą się straszne boje między bykami o klempy, tu też podchodzi łosia myśliwy z eksplodującą kulą w gwintówce. Częstokroć polują także na łosia z nagonką.

Wielu myśliwych utrzymuje psy, wyłącznie do tropienia i gonienia łosi zaprawiane. Gdy psy takie łosia wystawią, podsuwa się myśliwy i kładzie go strzałem. Strzał musi być bardzo celny, aby ów olbrzym lasów skandynawskich padł na miejscu. Wszakże to zwierz, mierzący na długość w przecięciu 2·7 metrów, wysoki od ziemi do combra na 2 metry i ważący około 400 kilogramów. Trop łosia, zwany u nas „wytłokiem“, ma pewne podobieństwo do tropu jeleniego. Postrzelony, farbuje mniej niż jeleń i rzadko kiedy, nawet w ucieczce, biegnie galopem. Śmiertelnie ugodzony, stara się dopaść wody, w którą się rzuca i nieraz w niej śmierć znajduje.

W ograniczonych kompleksach lasu degeneruje łoś skutkiem rozpładzania się w obrębie jednego i tego samego stada. Świadczy o tem mała ilość cieląt i zdarzające się często monstrualne przekształcenia lub słaby wzrost rosochów. Zmianę na lepsze można osiągnąć przez dostarczanie nowych byków. Bardzo duży stan łosi w pomniejszych kompleksach lasu staje się powodem niesłychanych szkód, szczególniej w drzewostanie świerków i brzóz.

Dziki ren przebywa wyłącznie na fieldach górskich w mniejszych lub większych stadach, które, pasąc się zawsze pod wiatr, przebiegają rozległe tundry, a o pewnych porach roku ciągną ku wyżej położonym borom szpilkowym i brzozowym. Dziki ren, od którego przyswojone reny pochodzą, jest od nich znacznie większy i silniejszy; dochodzi częstokroć do 150 kilogramów wagi. W tym gatunku pełnorożców panuje ta szczególność, że i łaniom wyrastają na pewien czas rogi. Używają one tychże do obrony sysaków przed czychającymi na nie drapieżcami. Rosochy samca bywają czasem olbrzymie i liczą niekiedy po 60 końców.

Na dzikiego rena poluje się tylko na podchodne. Czołgając się, usiłuje myśliwy podejść z boku pod pasące się stado, lub kładzie się i oczekuje, aż stado samo na strzał podejdzie. Łowy to bardzo trudne, wymagające wielkiej przebiegłości i wytrwałości, tem bardziej, że nagie płaszczyzny

śniegu, poprzerzynane szumiącymi potokami, nie nastręczają sposobności ukrycia się, podczas gdy czujność renów jest nadzwyczajna.

Polowanie na reny udaje się najlepiej na norwegskich fieldach, ale trzeba mieć wytrawnego i dobrze z miejscowością i sposobem polowania obznajomionego przewodnika. Dobra luneta polowa, sztuciec dalekonośny, ciepła, a przecież lekka odzież, przedewszystkiem zaś zimna krew, wytrwałość i prawdziwie myśliwski zmysł — są tu warunkami niezbędnymi.

Jeleń, jako wolny zwierz łowny, pojawia się tylko w prowincyi Schonen i na pewnej części wysp przy zachodnich wybrzeżach. Na niektórych jest nawet dość częstym. Szczególniej dobrym stanem jeleni odznacza się wyspa Hitteren, koło Drontheimu; bywa tam po 1.000 sztuk tego pięknego zwierza. Norwegski jeleń jest znacznie mniejszy od swego kuzyna kontynentalnego.

Sarnę spotykamy jedynie w południowych okolicach Szwecyi, a bardzo liczną jest ona w lasach dóbr majorackich w Schonen. Obecnie, w skutek tępienia drapieżców i pod ochroną ustaw łowieckich, posuwa się sarna coraz bardziej ku północy.

Wspaniały jeleń wirginijski „Wapiti“, został przez br. Dicsona w Szwecyi aklimatyzowany, lecz zabronionem jest na niego polowanie, dopóki się bardziej nie rozmnoży.

Daniel pojawia się w stanie dzikim w niektórych większych kompleksach leśnych w południowej części prowincyi Schonen, a bywa tam i w zwierzyńcach hodowany. Jeszcze nawet w okolicach Sztokholmu nie cierpi on od mrozów.

Pomiędzy ptactwem łownem zachowuje naturalnie głuszec miejsce naczelne. Od Schonen aż do przylądka północnego napotkać go można w okolicach leśnych.

Strzelanie głuszców w czasie tokowania zostało ustawą zabronione, lecz w użyciu jest natomiast polowanie z legawcem, lub z pewnym gatunkiem małych psów rasy lapońskiej, które tropią i gonią głuszca dopóty, dopóki się na drzewo nie wzniesie. Skoro zaś głuszec usiądzie na drzewie, wtedy psy owe, patrząc się w górę, nie spuszczają zeń oka i bezustannem głoszeniem przyzywają myśliwego. Uwaga głuszca jest wówczas głównie na psy zwróconą, myśliwy przeto łatwo może podejść i zapatrzonego ptaka celnym strzałem ubić.

Właściwem Skandynawii jest także inny rodzaj polowania na głuszca, t. j. polowanie przy pochodni. W odpowiednią porę wybiera się myśliwy do kniei, wziąwszy z sobą dwie tyczki. Jedną z tych tyczek wbija do ziemi w ostępie, o którym wiadomo, że zwykły w nim głuszce nocować, i czeka zachodu słońca. Gdy zmrok zapadnie, łowi myśliwiec wprawnem uchem łomot skrzydeł, który się daje słyszeć, gdy głuszec na gałęzi usiada i do spoczynku nocnego się zabiera. Naówczas zatyka myśliwy drugą tyczkę w pewnej odległości od pierwszej, naznaczając kierunek, skąd go szum skrzydeł dochodził. Następnie wraca do domu, bierze pomocnika, jeszcze kilka tyczek, parę smolnych pochodni i wraca do kniei. Dalsze polowanie polega na tem, że kierunek, wskazany dwoma tyczkami, wytycza się dalej w głąb lasu i przy pomocy pochodni bada się na tej drodze wszystkie grubsze drzewa. Głuszec, ujrzawszy niezwykłą jasność w lesie, siedzi najspokojniej na gałęzi i wyciągnąwszy szyję, patrzy ze zdumieniem na pochodnie. Można go więc łatwo odkryć i ubić. A jeśli na wytyczonej drodze więcej się głuszców znajduje niż jeden, można je po kolei strzelać, gdyż inne, oszołomione blaskiem, nie wzlatują wcale.

Cały ten tajemniczy rodzaj polowania ma w sobie wiele uroku.

Oprócz głuszców, nie są na półwyspie Skandynawskim rzadkimi jarząbki i cietrzewie, a trafiały się także głuszce średnie *(Rackelhahn)*, poczytywane i tam za mieszańce z głuszyc i cietrzewi. Od czasu wszakże, jak wyszedł zakaz strzelania głuszców na tokowisku, a skutkiem tego stan samców się podniósł, coraz rzadziej trafiają się głuszce średnie. Zakaz bicia głuszców przy tokowaniu wywarł wszakże inny zły skutek, ten mianowicie, że stadka głuszców bywają coraz nieliczniejsze, co niezdolności rozpłodowej zbyt starych kogutów przypisać należy.

Pardwy w dwóch odmianach *(Lagopus subalpinus, Moorschneehuhn* i *Lagopus alpinus, Alpenschneehuhn)* są ptakami, charakteryzującymi świat ptasi skandynawski; pierwsza w lasach i na mokradłach poniżej granicy brzóz, druga na fieldach, aż do najwyższych śnieżnych szczytów.

Polowanie na pardwy jest już od wielu lat specyalnym sportem myśliwskim Anglików, którzy je tysiącami na całym półwyspie strzelają. Polują na nie z wyżłami, podobnie jak na kuropatwy. Pies wyszukuje pardwy zazwyczaj w gęstwinach karłowatych wierzb, dokąd się one z nastaniem pory myśliwskiej ściągają. Krzewy te sięgają myśliwemu zaledwie po pierś, ale są bardzo gęste, psa zatem nie można daleko od siebie puszczać. Ponieważ go zaś w gęstwinach nie widać, więc przywiązują mu do szyi dzwonki. Dopóki się dzwonek odzywa, wie myśliwy, że pies szuka; gdy dzwonek umilknie, znak to dla myśliwego, że pies pardwę wystawił. Wtedy przygotowany do strzału, każe psu pójść dalej, i gdy stadko wzleci, może z łatwością dublować. Spłoszone raz stadko ciągnie wprawdzie dość daleko, ale że stadka zazwyczaj dość blisko obok siebie przebywają, można niebawem natrafić na inne.

Polowanie na pardwy jest zajmujące i wydatne. Myśliwy, strzelający dobrze i mający dobrego psa, może w ciągu dnia 100 i więcej sztuk ubić. Obfitość pardw bywa jednak w różne lata rozmaitą i jest bardzo zależną od klimatycznych warunków w czasie wysiadywania i żywienia młodych.

I tutuj spotyka się mieszańce z cietrzewia i pardwy *(Tetrao lagopides)* zwane po szwedzku *Rip orra*, mające ogon nieco widłowaty.

Kuropatwy przebywają tylko w południowych prowincyach Szwecyi. Kszyki, dubelty i słonki, bywają jak u nas w czasie ciągu strzelane. Zresztą biegusy, siewki, londziki itp. pojawiają się czasem pod jesień w stadach nieprzeliczonych.

Z powodu swego położenia, długich wybrzeży morskich, licznych zatok, rzek i jezior wewnętrznych, obfituje Skandynawia bardziej, niż jakikolwiek inny kraj, w ptactwo pływające.

Liczne gatunki kaczek i gęsi, które pod jesień na kontynent europejski przybywają lub go przelatują, gnieżdżą się w północnych częściach półwyspu i w Laponii. Tutaj to w zatoczkach, zarośniętych sitowiem, na „fiordach“ lub na jeziorach górskich i leśnych, gdzie niejeden ostrów wybornem jest miejscem na pielesze, na bezmiernych trzęsawiskach i mokradłach — jest właściwa ojczyzna wodnego ptactwa. Pojawia się też ono w olbrzymich ilościach. Ubić n. p. kilkadziesiąt kaczek dziennie, nie należy wcale do rzadkości. Tysiącami spotyka się rozmaite gatunki kaczek nurkowatych *(Fuligula)*, traczy *(Mergus)*, nurów *(Colymbus)*,

g ę s i, a na fiordach lub leśnych jeziorach nie rzadkie są ł a b ę d z i e.

Gąsiory przebywają czas swego pierzenia na wysoko położonych morskich okach. Są one wtedy całkiem niezdolne do lotu. Z pory tej korzystają Lapończy, i wyprawiwszy się na czółnach, strzelają je na wodzie. Jednak i te łowy nie są zbyt łatwe, gdyż gąsior nurkuje wybornie i długo może się pod wodą utrzymać.

Z pomiędzy lotnych drapieżców Skandynawii, godne są wymienienia o r z e ł p r z e d n i i o r z e ł b i e l i k, s o k ó ł n o r w e g s k i, s o k ó ł w ę d r o w n y, gnieżdżące się już to w szczelinach skał, jużto na wierzchołkach drzech; m y s z o s z o ł ó w włochaty, i inne.

Właściwością tylko tych krain północnych, a istnem eldoradem dla myśliwca, który umie kulą w ptaka godzić, są t. z. „ptasie góry“ na „skjärach“ północnej Norwegii. Na zboczach i w rozpadlinach skalistych gnieżdżą się tam tysiącami rozmaite ptaki morskie. Gdy tylko strzelić w pobliżu takiej góry, zaciemnia się niebo od wzlatującego ptactwa, a krzyk i wrzask piekielny napełnia powietrze. Wtedy to można dowoli próbować oka i donioslości strzału.

Podobnych, „gór ptasich“ jest mnóstwo wzdłuż zachodnich i północnych wybrzeży Norwegii, a najbardziej znane między nimi są Lovunny i Fuglön na północy, i Sörlandssnuppen koło Lofodów. Na górach tych nie gnieżdżą się ptaki bezładnie, lecz każdy gatunek ma niejako swoje królestwo, można więc w tych królestwach oznaczyć pewien porządek. Najniżej gnieździ się kormoran, k r u k m o r s k i *(Phalacrocorax carbo)* — wyżej nieco m e w a t r z y p a l c o w a *(Larus tridactylus)* — jeszcze wyżej a l k a l o t n a *(Alca torda)*, jeszcze wyżej m a s k o n u r *(Mormon arcticus)* — piątą z rzędu kondygnacyę zajmuje n u r z y k p o d b i e l a ł y *(Uria troile)* i m e w a s r e b r z y s t a *(Larus argentatus)* — najwyżej zaś inne gatunki mew, a szczególniej m e w a b l a d a *(Larus glaucus)* i m o r s k a *(Larus marinus)*. Na niektórych górach ptasich gnieździ się najwyżej maskonur.

Sztućce małokalibrowe, najwyżej z kulami stożkowymi o 7 mm. średnicy, nadają się najlepiej do polowania na te latawce północy.

Na maskonura poluje się także w sposób zabawny przy pomocy małych, umyślnie do tego celu zaprawionych psów. Ptak ów grzebie sobie w rozsypisku skalnem długie chodniki, składa tam jedno jajo, a wysiadłszy młode, karmi je w tem szczególnem gnieździe. Dziur takich jest na „ptasich górach“ bez liku. Otóż, gdy pisklę już należycie podrośnie, wychodzi się z pieskami, które, ujrzawszy chodnik maskonura, stają u wejścia i tak długo czatują, aż starka się pojawi. Wtedy wpadają na nią jak strzała, chwytają za szyję i duszą, poczem myśliwy wyciąga hakiem młode. Gdy jednak maskonur spostrzeże dość wcześnie czychających nieprzyjaciół i do jamy się cofnie, wówczas następuje częstokroć walka, w której piesek od potężnego dzióba ciężkie odnosi rany.

Podobnie jak łowiectwo, tak i rybołostwo na wybrzeżach, rzekach i jeziorach półwyspu Skandynawskiego celuje bogactwem gatunków i rozmaitością sposobów łowienia, która miłośnikowi rybołostwa prawdziwą sprawia przyjemność.

Kraj uroczych „fiordów“, ponurych „tundrów“, śnieżnych „fieldów,“ malowniczych „skjärów“ i dziewiczych jeszcze tu i owdzie borów — kraj słońca o północy — należy w ogóle do najbliższych nam krain, gdzie można jeszcze mówić o zawodzie łowieckim w całej jego dzikiej wspaniałości i gdzie walka natury z człowiekiem niewiele jeszcze z swej pierwotnej utraciła grozy. *St.*

Szczególne łowy na wilki.

Było to przed latami, w wieku moim złotym, bo młodym, kiedy to, miły Boże, człowiek niejedno bez namysłu zrobić potrafił, nie oglądając się ani na trud ani na niebezpieczeństwo.

Mieszkałem wtenczas chwilowo na prześlicznem naszem Podolu, w okolicach Bałty, co to — jak rola — to tysiąc lub dwa tysiące morgów — jak las — to dziesiątki tysięcy, a jak staw lub łąka — to na mile się ciągnie. Gdziekolwiek okiem rzucisz, to gmachy dęby po polach stoją, jak pomniki dawnych czasów, patrząc z boleścią na nasze skarłowaciałe przez wyręby lasy i na skarłowaciałych przez zniewieściałość ludzi, którzy już zaczynają w kaloszach i z parasolem na polowania chodzić.

Ówczesny człowiek zdrowiej i otwarciej wyglądał. Prawda, że były to czasy szczęśliwsze i względnie bogatsze. W owym czasie nie wiedziliśmy nawet, że mogą istnieć tak pieszczotliwie brzmiące dla ucha ziemianina wyrazy jak: podatek gruntowy, podatek domowy, domowo-klasowy, dochodowy, zarobkowy, dodatek powiatowy, gminny i t. d., które i dziś mi spamiętać tak trudno, a rozróżnić niepodobna. Wiem tylko, że płacę i płacę bez końca, że otrzymuję wciąż i wciąż wezwania, nakazy płatnicze, groźby i kary, a sekwestracye i licytacye wiszą nad karkiem jak miecz Damoklesa...

Ale do rzeczy.

Otóż w tych szczęśliwych bezpaletowych latach, inne u nas było myśliwstwo, może co do zwierzyny skąpsze, ale pod względem towarzyskim przyjemniejsze, gdyż humory były lepsze, nikt nie cedził słówek przez zęby jak aptekarz olejki po kropli, i nie starał się wymawiać **s** twardo zamiast miękko, nie wibrował językiem wygłaszając **r** z francuska, nie dobierał etykietalnych wyrazów, lecz wyrażał się jak Bóg przykazał z prosta i śmiało, przeplatając naturalnymi własnymi konceptami, między którymi często gęsto prawdziwą perłę humoru znaleść można było.

T a n d e m pewnego razu, gdyśmy, sąsiedzi, imieniny również sąsiada naszego, Juliana M. obchodzili, — już nad ranem, gdy humory podniecone były tańcem i licznymi kielichami dziadowskiego jeszcze wina, gdy już i sławna „kulawka“ od sąsiada do sąsiada przechodziła, a w pokojach panował gwar jak w ulu — wszedł nagle służący i gospodarzowi coś pospiesznie szepnął do ucha. Po rozradowanej minie gospodarza poznaliśmy, że to coś ważnego a miłego. Zaczął on kiwać na nas ręką, abyśmy się uciszyli i powiada:

Kochani sąsiedzi, Iwaś donosi mi, że weszło 5 wilków na tok, i że je parobcy zamknęli. Tok wysoko oparkaniony, to nie uciekną. Kazałem im tam umyślnie padlinę podrzucać i czekam już od tygodnia, aby wam zrobić rozrywkę.

Runęliśmy wszyscy jak kto stał do drzwi i przed ganek, a popychaliśmy się, będąc już na niepewnych nogach, bo węgrzyn wytrawny nie idzie do głowy, ale zato dziwnie nogi plącze.

Czas był prześliczny, śnieg w kolano, a na niebie księżyc w pełni. Co gorętsi z nas chwycili strzelby, wiszące w sieni, lecz gospodarz strzelać nie pozwolił. Kazał osiodłać konie i nas tak, jakeśmy byli w ubraniach balowych, powsadzał na koń, dawszy każdemu pałasz do ręki, jaki komu wypadł. Pamiętam, że mnie dostał się ogromny miecz, zapewne jeszcze krzyżacki, obosieczny, którym ledwie wywinąć byłem w stanie.

Tancerki nasze urocze, widząc nasze zuchowate miny, wzięły też na odwagę, i oświadczyły, że jeżeli to nie grozi niebezpieczeństwem, to i one chciałyby się przypatrzeć polowaniu i ujrzeć raz te wilki żywe, o których im tyle bajek mamki i niańki naopowiadały. Wyniesiono im więc stoły i ustawiono okok parkanu, tak, że im z za niego tylko główki, ubrane różnokolorowymi chusteczkami, widać było.

Po tych przygotowaniach otworzono nam bramę. Wpadaliśmy po jednemu na arenę improwizowaną. Ostatni jechał na siwej zaprzęgowej klaczy Jędruś M...., dziś niestety już nieżyjący kolega naszych zabaw. Kobyła była trochę narowista i niejednego jeźdźca ze siebie zsadziła.

Wilki pomykały, przecinając tok na wszystkie strony' kryjąc się pomiędzy sterty plewy i słomy. Puściliśmy za nimi konie, które, choć niechętnie, pociskane jednak przez jeźdźców, sadziły prosto na wilki. Zaczął się krzyk, hałas i rwetes niesłychany. Każdą razą, kiedy ścigany wilk podbiegł w stronę przypatrujących się kobiet i próbował nadaremnie przesadzić susem wysoki parkan, wszczynał się między paniami taki krzyk i pisk, pełen przestrachu, że się go opisać nie da. Piękne główki, jak by je zdmuchnął, kryły się za parkan, przysiadując na stołach, aby znów, gdy ciekawość przemogła, wystawić noski nad ogrodzenie.

Tak też się stało, gdy Jędruś na swej kobyle wilka pod parkanem nacisnął. Kobyła, usłyszawszy krzyk nadludzki pań, skoczyła jednym susem w bok, potknęła się — i Jędruś hrymnął przez łeb siwej wprost na wilka, przezemnie gonionego. Kobyła w nogi — a Jędruś za nią, a w strachu był takim, że zgubił nietylko pałasz, ale czapkę nawet. Umykał jak zając, połami od fraczka fruwając w powietrzu, nareszcie wydrapał się na bróg plewy, i tam przetrwał całe polowanie, zapomniawszy nawet o mrozie. Mnie udało się krzyżackim mieczem dwa wilki ubić; jednego ciąłem szpicem w czaszkę i został na miejscu, a drugiemu dałem aż trzy cięcia w krzyże, zanim upadł.

Pomęczeni, tryumfując, pozsiadaliśmy z pomęczonych również koni, trzeźwi teraz jak nowo narodzone dzieci — i pociągliśmy z paniami za zastawione na prędce słoły z śniadaniem. Co opowiadań, co gwaru, co za humory były przy tem śniadaniu — niech sobie każdy wyobrazi. Jeden tylko Jędruś, choć laliśmy w niego jak w beczkę, siedział struty, jak gdyby był biedak przeczuwał, że niedługo między nami zabawi... W rok później niespełna, przy przejeździe przez Dniestr, utopił się razem z końmi i nawet ciało jego gdzieś z lodami spłynęło do Odessy.

Wł. Zaleski.

PO POŻEGNANIU.

Dawniej, gdym spojrzał na me stare drzewa,
Śmiały się do mnie śpiewem ptasząt małych;
A dzisiaj... smutek jakiś z nich rozbrzmiewa,
Ruszana wiatrem, szemrze drzew korona:
Gdzie ona?

*

Gdym z łowów wracał, strzelec stary witał,
A siwe oczy radośnie patrzały;
Cieszył się starzec, uśmiechał się, pytał.
Dziś pyta w oku jego łza sperlona:
Gdzie ona?

*

Dawniej, gdy smutek usiadł na mem czole,
Siadałem na koń. Wiatr rodzinnych stepów
Zwiewał mi smutki i niósł dobrą dolę.
Dziś jęczy tuląc się do mego łona:
Gdzie ona?

*

Dawniej, gdy szedłem konia mego witać,
Rwał ulubieniec mój ziemię kopytem.
Dziś smutny stoi i zda mi się pytać,
Kładąc swą głowę na moje ramiona:
Gdzie ona?

*

Dawniej, gdym trąbkę usłyszał łowiecką,
Z drużyną moją i psiarnią dowodną
W knieje ruszałem, wesoły jak dziecko.
Dziś, głos ten w borach z zapytaniem kona:
Gdzie ona?

Aes.

Przygoda Zagraja.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Był to dzień św. Huberta. Polowaliśmy w jednem z miłych sąsiedztw naszej okolicy. Łowy niestety, nie bardzo świetnie wypadły; skutkiem czego i humory nasze nie były wyśmienite. Wróciwszy około piątej pod wieczór, zasiedliśmy do obiadu, przy którym staraliśmy się żywą gawędką zatrzeć niemiłe wrażenia i wprawić się przecież w jaką taką wesołość. Poczęto sobie, jak zazwyczaj, opowiadać rozmaite przygody myśliwskie. Było tam wiele anegdot czysto „myśliwskich“, t. j. wybornie kłamanych, ale zato wesołych, były także wspomnienia osobiste, ale wkrótce zaczął się zapas ich wyczerpywać. Wówczas zabrał głos sam gospodarz, człowiek stary, szanowany w całym powiecie, a zapewniwszy, że chce nam jednę z najprawdziwszych a licznych swych przygód myśliwskich opowiedzieć, pyknął z fajeczki i popijając czarną kawę, tak mówił:

— Ej! co to teraźniejsze wasze polowania z pogonką! To nie polowania, to czysta rzeź! Nie mają one tyle uroku i przyjemności co nasze dawne z pieskami. Nie można doświadczyć na nich tylu miłych i zabawnych przygód, w jakie polowania z psami obfitowały. Ja sam miałem takich przygód bez liku, bo było, mociumpanie, dość czasu, by mi się przytrafiały. Wszak to siedemdziesiątka na karku, a dziesięć lat miałem, jak zaczął mnie mój ś. p. ojciec do polowania zaprawiać. To też pasyą moją największą było zawsze polowanie, a psy miewałem jak najlepsze, bo który lichy był, tegom się zaraz pozbywał.

Otóż pamiętam jak dziś, było to w r. 1845, gdym był jeszcze kawalerem. Miałem coś pięć gończaków, a najlepszymi z nich było dwoje: pies „Zagraj“ i suka „Trąbka“. Zagraj celował szczególnie w gonie lisa. Gdy tylko wpadł na mykitkę, to mociumpanie, dopóty go nie opuszczał, dopóki go pod strzał nie wyprowadził. Trąbka mniej miała predylekcyi do lisa. Większą za to przyjemność sprawiał jej szarak ze swoimi kluczkami.

Było to jakoś na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia. Rano, koło godziny szóstej, przychodzi do mnie do sypialni stary leśny Bartosz, który jeszcze był przyjęty do służby za życia ojca mego, i budzi mnie tymi słowy:

— Niech jaśnie paniczyk (tak mnie zawsze tytułował, chociaż byłem już pod wąsem) wstaje, bo piękna dziś ponowa. Pójdziemy na jodłowce, na potoczki, zabijemy dwa, trzy, cztery zajączki.

To była jego zwyczajna zachęta, a nie potrzebował mi jej dwa razy powtarzać. Gdym tylko zasłyszał o ponowie, zerwałem się i począłem czemprędzej ubierać, a tymczasem posłałem do drugiego leśnego Pawła, by ten natychmiast stawił się na polowanie.

W istocie, zanim się ubrałem i zjadłem śniadanie, leśny już był, a ponowa jakby jakąś siłą czarodziejską ciągnęła czemprędzej do lasu. Kazałem wziąć Zagraja i Trąbkę i tak samotrzeć, z dwoma pieskami ruszyliśmy do lasu. Gdyśmy stanęli na miejscu, kazałem Pawłowi podłożyć samego tylko Zagraja z dołu od granicy, a my dwaj z Bartoszem stanęliśmy na górze, tak, że przed sobą mieliśmy las, za sobą zaś pola chłopskie, a za tymi, znacznie niżej, krzaki do mnie należące. Trzeba zaś wiedzieć, że owe krzaki rosną nad dosyć skalistym brzegiem, tu i owdzie tylko okrytym trawą i gdzieniegdzie jakiemś drzewkiem skarłowaciałem.

Zaledwie Paweł podłożył psa, ten już ruszył lisa, który, jako to jest jego zwyczajem, chyłkiem, bokiem, daleko bardzo odemnie, nasłuchując i co chwila stając a rozglądając się, wymykał się, a potem ruszył wprost przez pola ku krzakom i tam zniknął. Niebawem, może za trzy lub cztery „Ojcze nasz“, tym samym tropem goni, mociumpanie, mój Zagrajek i wkrótce znika także w krzakach. Chwilę jeszcze tam głosił. Posunąłem się więc za tropem i stanąłem, będąc pewnym, że lis, prześladowany przez psa, nawróci. Zaledwie się jednak zatrzymałem, pies uciął i nastała cisza. Stoję mimo tego jeszcze ciągle w miejscu i pilnuję.

Spojrzałem ku memu dawnemu stanowisku i widzę Bartosza, zbliżającego się ku mnie. Skinąłem na niego, by stanął na mem stanowisku i czekamy, czekamy z bijącem sercem, ale cisza panuje ciągle; pies uciął i nic dalej nie słychać. Minęło może pół godziny — ciągle cicho. Zniecierpliwiony przywołuję Pawła, który niedaleko odemnie po prawej ręce przystanął i daję znak Bartoszowi, by przyszedł. Gdyśmy się zebrali, radzimy, co dalej robić? Uchwaliliśmy, żeby zatrąbić na pieska, bo ten może zgubił trop, a gdy przyjdzie, puścimy oba psy i może będziemy jeszcze co strzelać. Odzywa się tedy trąbka, lecz tylko echo nam odpowiada; o Zagraju ani słychać.

— Nie wiem już co począć — mówię zniecierpliwiony — dlaczego pies nie przychodzi na trąbę? Chyba spadł, mociumpanie, ze skały i zabił się. Chodźmy za tropem, to się najlepiej przekonamy.

Idziemy tedy za tropem. Ciągnął się on jeszcze ze sześćdziesiąt kroków w krzakach, a następnie przerzucał się na ścieżkę nad urwiskiem, którą tylko jeden człowiek mógł iść. Postanowiłem tedy ja sam, mociumpanie, puścić się tą ścieżynką, dokąd się uda. Nie dalej jak dziesięć kroków, trop lisi i psi kończyły się wpadając w szczelinę, która była otworem do lisiej jamy.

— Aha! — pomyślałem — mykita schronił się do jamy, a poczciwy Zagrajek poszedł nawet tam za nim.

Myśląc to, schylam się nad jamę i w istocie usłyszałem przygłuszone z pod ziemi wychodzące jęki i skomlenia Zagraja. Wołam na niego, lecz nadaremnie, głos się nie przybliża, widocznie pies nie może się z jamy wydostać. Kazałem sobie przeto wyciąć tyczkę długą, a gdy mi ją podano, włożyłem ją, mociumpanie, w otwór, chcąc się przekonać, jak głęboką jest jama. Chociaż tyczka była długa, a ja ją jeszcze długością swej ręki przydłużyłem, nie trafiłem jeszcze na ścianę jamy. Bartosz przywiązał mi tedy jeszcze ladsztok i tę w ten sposób przydłużoną tykę wkładam powtórnie do szczeliny. Teraz trafiłem na coś miękkiego. Myślę mociumpanie, to pewnie Zagraj tyłem obrócony do otworu jamy; wąsko mu i biedny nie może się stamtąd wydostać. Zakręcam tedy w miękki ów przedmiot grajcarek od ladsztoka, czuję, że gwinty jego wkręcają się w kudły, zakręcam więc, mociumpanie, jeszcze dalej i poczynam ciągnąć.

— Biedny Zagrajku — myślę sobie — wyciągnę cię w ten sposób.

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast Zagraja, pokazuje się, mociumpanie, lisia kita w otworze. Co tu robić? Wyciągnąć lisa za kitę — źle! bo stoję tylko na mało wystającym kamieniu nad głęboką przepaścią... Nie mam

miejsca, mociumpanie, aby chwyciwszy lisa za kitę, zamachnąć nim, a zamachnąwszy, uderzyć silnie o skałę i w ten sposób pozbawić go żywota. Myślę sobie, że jak nim zamachnę, stracę równowagę i wpadnę sam do przepaści, a tu, mociumpanie, ochota bierze i kita z dziury wygląda. Na szczęście padł mój wzrok na drugi próg wystający w skale. Przekładam więc nogę, a rozkraczywszy się, stanąłem tak silnie, że mogłem się na atak odważyć. Bez dalszego tedy wachania, porywam lisa, mociumpanie, za kitę, unoszę go z nadzwyczajną szybkością w górę i grzmotnąwszy łbem dwa razy o skałę, zabijam.

— Lis jest! wołam, oddając go Bartoszowi — ale co się dzieje z Zagrajem?

Wołam znowu w otwór myśląc, że może teraz pies po usunięciu przeszkody zdoła się wydobyć. Lecz i teraz jeszcze odpowiedziały mi tylke jęki psa i chrobotanie się jego w jamie. Próbuję tego samego sposobu, jakim wydostałem lisa; ale niestety! grajcarek nie trafia na psa, tylko na twardą ścianę jamy.

— Źle! — myślę sobie i żal mi się zrobiło Zagraja tem bardziej, że to był przedni pies. — Trzeba go przecież wydobyć.

Rozważam więc, mociumpanie, co się mogło takiego stać? i tak wnioskuję: Jeżeli lis był w jamie i ja go wyciągnąłem, a psa wyciągnąć nie mogę, nic więc innego tylko to, że wąska szczelina kończy się miejscem więcej przestronem, a za niem musi być jakaś rozpadlina tak głęboka, że pies, wpadłszy w nią, nie może się stamtąd wydostać.

— Źle! źle Zagrajku — mówię sobie w duszy, — ale ja cię nie opuszczę.

Kończymy tedy polowanie i wracamy do domu, a zjadłszy prędko obiad, zabieram trzech chłopów z rydlami, kilofem i perlikiem, i mociumpanie, wraz z nimi i Bartoszem idziemy, aby wyratować biednego Zagraja od niechybnej śmierci głodowej.

Przychodzimy do celu. Jęków Zagraja nie słychać już, ale gdy na niego zawołałem, doszedł uszu moich znów przygłuszony skowyt i głośne chrobotanie się jego, w którem to chrobotaniu znać było wysilenia, by wyjść z tej przeklętej czeluści. Zabraliśmy się tedy do roboty, w której i ja, mociumpanie, czynny udział wziąłem. Pod płytką warstewką ziemi, trafiliśmy na skałę piaskową, która wprawdzie nie była bardzo twardą, ale zawsze trzeba było dość mozolnej i długiej pracy, aby ją przebić.

Dzień w zimie krótki, słońce już więc zachodziło, a skała nie była jeszcze przebita. Widząc, że się ta praca nie zaraz skończy, odłożyłem dalszy ciąg jej na następny dzień. Drugiego dnia wyszliśmy znowu i pracowaliśmy dalej, ale i wtedy nie skończyliśmy mozolnego dzieła. Dopiero na trzeci dzień około południa, ostatnie uderzenie kilofa przebiło warstwy piaskowca i części rozsypującego się kamienia wleciały z łoskotem do szczeliny, w której biedny mój Zagrajek siedział.

Jakiż widok przedstawił się teraz naszym oczom? — Oto przypuszczenie moje prawie w zupełności się sprawdziło. Wąska z początku jama, rozszerzyła się w dość obszerną grotkę, która służyła za legowisko lisowi, a przy końcu tej grotki była prostopadła, mniej więcej na dwa sążnie głęboka i dość obszerna rozpadlina. W grotce tej musiał pies dopaść i obracać lisa, a zbliżywszy się w zapale zanadto nad brzeg czeluści, stracił równowagę i wpadł w nią. Lis tymczasem, uwolniony w ten sposób od napastnika, siedział sobie bezpiecznie w swem legowisku.

Wyciągnęliśmy więc pieska z trzechdniowego więzienia. Biedny Zagrajek schudł nie do poznania. Same kości i skóra były na nim, ale jaka była jego radość — nie wypowie, mociumpanie, żaden język, ani pióro zdolne opisać. Skomlał, skakał, lizał ręce tak mnie jak i robotnikom. Widać było w oczach jego niezwykłą wdzięczność i wyraz podzięki. Ucieszony z odzyskania pieska, nie kazałem go brać na sforkę, ale puścić wolno.

Idąc ku domowi, trafiliśmy na świeżuteńki trop zaączka — i ten biedny, wygłodniały psina, oglądnąwszy się tylko na mnie, począł gonić głosem, chociaż nie była to jego specyalność. Gonił go dość długo, skutkiem czego stanęliśmy z Bartoszem, ponieważ byliśmy ze strzelbami i czychamy na śmierć biednego „Felka“. Wreszcie pokazał nieboraczek swe długie słuchy, a za nimi samego siebie. Nie namyślając się długo, przywitałem go gęstym gradem śrótu, i biedny szarak rozciągnął się na śniegu. Po upływie pewnej chwili przywlókł się i biedny Zagrajek. Ja, widząc głód i osłabienie wiernego pieska, rzuciłem mu ubitego zająca, którego on też w jednej chwili spałaszował.

— Ale ja was, mociumpanie, nudzę — rzecze w końcu gospodarz — ot, zwykle jak stary, a tu filiżanki z czarnej kawy już próżne. Przepraszam was tedy, mociumpanie, za skromny obiadek myśliwski.

Tymi słowy zakończył poczciwy staruszek i rozległ się hałas odsuwanych krzeseł, bośmy wstawali od stołu i dziękowali za ciekawą opowieść o Zagraju.

— Ot, mociumpanie, nie jedno się tam jeszcze znajdzie w tym starym lamusie — rzekł gospodarz wesoło, wskazując na swą siwą głowę — ale to już innym razem!

Godysław.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

W kniejach amerykańskich.

(Ze wspomnień hr. F. Trauttmansdorffa.)

...Przybyliśmy kanadyjską koleją „Pacific“ do Golden-City w Kolumbii brytyjskiej. Parowiec, na którym mieliśmy w górę rzeką Kalumbią podążyć, rozbił się, musieliśmy zatem kilka dni w Golden-City się zatrzymać. Po długiem rozpytywaniu, dowiedzieliśmy się, że niedaleko stamtąd znajdują się słone wody, do których niemal codzień przychodzą dzikie kozy z sąsiednich gór, gdzie jest ich ostoja. Urządziliśmy więc trzechdniową wyprawę do owych wód.

Trzymając się prawego brzegu Kolumbii, przebyliśmy półtory mili konno, następnie przeprawiliśmy się małem

czółnem na lewy brzeg rzeki, i wśród chmury dokuczliwych moskitów, puściliśmy się w bujny dziewiczy bór szpilkowy. Po krótkiem wspinaniu się na strome zbocze górskie, stanęliśmy u celu. Był to jar skalisty, na kilkaset stóp głęboki. W głębi jaru szumi górski potok i wypłukuje warstwy słonego kamienia ze ścian przepaści, która się ciągnie kilka mil pomiędzy szczyty górskie. Tutaj w porze letniej spuszczają się z turni kozy, ażeby lizać słony kamień i wypoczywać w chłodzie nad potokiem.

Uszedłszy spory kawałek brzegiem jaru, ujrzeliśmy dużą kozę, która na niedostępnej ściance leżała. Ustawiliśmy się więc o kilkaset kroków dalej na przesmyku, kazawszy przewodnikowi, aby rzucał kamieniami i kozę spłoszył. Niespełna w kwadrans potem ujrzałem znów kozę; szła z koźlęciem i zbliżała się ku górze, wspinając się niemal pionowo po skalistej ścianie. Wytrzymałem ją, aż na górę wyszła i strzeliłem na 50 kroków, ale ją chybiłem; gdy jednak rzuciła się ku mnie po strzale, dublowałem — i położyłem ją na 30 kroków.

Było to na samym brzegu przepaści. Trafiona koza rzuciła się jeszcze kilka razy, i częścią sunąc się, częścią spadając ze skały na skałę, stoczyła się aż do potoku. Tu leżała jakiś czas jakby nieżywa, lecz wkrótce przyszła do siebie, powlokła się kilka kroków i legła tuż nad wodą. Widzieliśmy ją tam aż do wieczora, lecz niepodobieństwem było spuścić się na dół i zabrać ją, a na drugi dzień rano już jej nie było. Czy ją szumiący potok uniósł, czy może jeszcze tyle sił miała, ażeby się gdzie między skały zawlec, nie wiem; dla mnie była na wszelki wypadek stracona.

Była to k o z a ś n i e ż n a *(Haploccrus montanus)*. Dnia tego (17. lipca 1887) widziałem ją po raz pierwszy. Jest ona znacznej wielkości, a waży około 2 cetnarów i więcej. Wysoki garb i skudłaczona biała wełna, czynią ją podobną do wołu, tak, że widzi się raczej jakiegoś białego bawoła górskiego, a nie zgrabną kozę. Mimo to koza śnieżna spina się po skałach wyśmienicie i pokonywa takie trudności terenu, jakichby nasza kozica pokonać nie zdołała.

Blisko trzy tygodnie błąkaliśmy się po Kolumbii i nie udało mi się spotkać znowu kozy śnieżnej. Nareszcie wybraliśmy się na kilka dni do „Brisko-mountains“, gór, wznoszących się po prawym brzegu Kolumbii. Tutaj kozy śnieżne trafiają się częściej. Zaraz po wyjściu na góry, spotkaliśmy 5 sztuk, leżących naprzeciw nas na polance śnieżnej. Hr. Hoyos podszedł je i ubił trzy sztuki.

Następnego poranku zbudzono mnie doniesieniem, że się pojawiły 2 kozły. Podszedłem je, okrążając daleko i jednego ubiłem na miejscu, drugiego zaś postrzeliłem śmiertelnie. Dałem więc mój sztuciec towarzyszącemu mi trapperowi, ażeby pobiegł za ranionym kozłem i dobił go. Słyszałem, jak dał kilka strzałów, lecz wrócił bez skutku, gdyż kozioł schronił się na ściankę, do której z nikąd nie było przystępu. Tymczasem podniósł się pierwszy z trafionych kozłów. Strzelany był z tyłu, więc kula utkwiła mu tuż koło krzyża i poszła ku wnętrznościom. Zrazu sunął się tylko na przednich nogach, ciągnąc tył za sobą, wkrótce jednak podniósł się całkiem i przebiegł zwolna przed nami. Wszystkie ładunki były już wystrzelane, nie mogliśmy go zatem dobić. Staraliśmy się tylko nie stracić go z oczu. Od czasu do czasu kładł się, jak gdyby już kończąc, lecz znowu się podnosił i szedł wolno naprzód. Dopiero po całogodzinnym pościgu udało nam się dopaść go wśród złomów i dobić.

Pod wieczór zerwała się śnieżyca, która nas przez dwa dni więziła w namiocie. Trzeciego dnia wypogodziło się. Kazaliśmy tedy towarzyszącym nam Indyanom przegonić ubocz, obfitującą w warstwy solnego kamienia. Znalazło się dwie kozy w miocie. Jedna wymknęła się przez nagonkę, druga wyszła na hr. Hoyosa. Był to duży kozioł. Pomimo, iż został w komorę trafiony, nie padł na miejscu, lecz musiał być jeszcze goniony i kilku strzałami dobity.

Po tem polowaniu z nagonką, puściliśmy się znowu na podchodne i Hoyos wynalazł wkrótce stadko, z 15 kóz złożone. Gdyśmy się naradzali, jak je zajść, ujrzałem i ja potężnego kozła, który nie dalej jak na 100 kroków odemnie leżał. Podszedłem i trafiłem go w komorę, mimo to odsadził się jeszcze dość daleko, i ginąc spadł na śnieżną polankę. Strzał mój nie spłoszył wcale ujrzanego przedtem stadka. Hoyos podszedł je na 300 kroków, lecz gdy spostrzegł, że to same małe sztuki, nie puszczał się już dalej. Ja tymczasem zeszedłem na polankę śnieżną, uciąłem głowę kozłowi i z tą zdobyczą wróciłem późno wieczorem do naszego obozowiska.

* * *

W górach skalistych (Rocky-mountains) poczytują o w c ę g ó r s k ą *(Ovis montana)* za najszlachetniejsze i najtrudniejsze do ubicia zwierzę łowne. Owce te przebywają na najwyższych i najdzikszych grzbietach skalistych; pod jesień wszakże i w zimie schodzą do położonych niżej „kanonów“, t. j. suchych łożysk rzecznych między skałami, i tam można je łatwiej ubić.

Owce górskie pojawiają się najczęściej w dużych stadach; w lecie i w jesieni trzymają się oddzielnie barany, oddzielnie owce. Sierć młodych sztuk jest jasno-szara, niemal biała, z wiekiem wszakże staje się coraz ciemniejsza, tak, iż duże barany są już niemal czarne. Duże lustro pozostaje wszakże śnieżno białe i to ułatwia wyszukanie owiec pomiędzy skałami.

Z końcem września 1887 r. udaliśmy się do Sierra Shoshone. To gniazdo gór ma wejrzenie nadzwyczaj ponure. Jak daleko wzrok sięga, widać tylko szczyty to białe, to żółte, to fioletowe lub czarne, od góry do dołu okryte wietrzejącem rumowiskiem, bez śladu jakiejkolwiek roślinności, z wyjątkiem chudych, tu i owdzie wśród kamieni zieleniejących się ziół górskich. Gdyby nie percie, wijące się miejscami pomiędzy rumowiskiem, nic by nie świadczyło o tem, że i wśród tej skalistej pustyni są żyjące stworzenia.

W czasie pierwszej wycieczki widziałem tylko jednę owcę. Przyglądnąwszy się jej uważnie przez szkła, poznałem, że to baran, i począłem go podchodzić. Leżał poza małym wyskokiem skalistym, na drugim brzegu jaru. Musiałem więc przejść przez potok i wspinać się po bardzo stromej i rumowiskiem zasypanej uboczy.

Mimo największej ostrożności, nie mogłem temu zapobiedz, ażeby się kamyki z pod nóg mych nie usuwały, spadając z hałasem w głąb jaru. Obawiałem się, że baran mnie już spostrzegł, ale gdym się nareszcie ku niemu podsunął, zobaczyłem go z radością na jakie 50 kroków. Nie zmienił pozycyi i patrzył bez ustanku ku temu miejscu, gdzie trapper mój się zatrzymał. Jeszcze mi go skała nieco zakrywała, posunąłem się więc w schylonej postawie jeszcze kilka kroków, potem podniosłem sztuciec do oka, strzał padł, i kula ugodziła barana w łopatkę. Martwy stoczył się do potoku. Była to sztuka trzechletnia. Rogi jego mierzyły 21 cali, a u podstawy miały obwód 13-calowy.

Tego samego dnia ubił Hoyos kapitalnego barana o olbrzymich rogach.

Nie znalazłszy tu już więcej owiec górskich, podjęliśmy kilkudniową podróż wzdłuż południowych stoków olbrzymiej,

do 14.000 stóp wysokiej piramidy skalistej, noszącej nazwę Igły Washakie (Washakie-Needle), na której jeszcze nikt z żyjących nie był. Okolica, do którejśmy przybyli, położona na północnych stokach rzeczonej góry, jest nieco milsza, bo przynajmniej częściowo borem szpilkowym okryta. Tutaj ubiłem jeszcze jednego barana, którego wśród strasznej burzy, wraz z innymi trzema baranami, głęboko w kniei natrafiłem.

Dnia 14. października, przed wschodem słońca, wyszliśmy szukać jelenia Wapiti, którego Hoyos dniem przedtem był ubił. Natrafiliśmy także na trop szarego niedźwiedzia. Gdym jednak prócz tych tropów, kilku orłów i srok, nic innego nie nadybał, puściłem się dość daleko w las, wzdłuż doliny, ciągnącej się u stóp Igły Washakie. Trafiałem i tu na tropy niedźwiedzi, jeleni Wapiti i mniejszych jeleni, t. z. „muledeer“ *(Cervus macrotis)*, wreszcie ujrzawszy na przeciwległym stoku stadko 17-tu owiec, usiadłem na szczycie pagórka, ażeby okolicę przez szkła dobrze zlustrować.

Po długiem patrzeniu odkryłem przy końcu doliny biały punkt, który po bliższem badaniu okazał się lustrem wielkiego barana. Mimo znacznej odległości, postanowiłem go podejść. Aby być ciągle zakrytym, trzymałem się potoku, wijącego się w głębi doliny. Po dwóch godzinach uciążliwego marszu, doszedłem do miejsca, w którym baran powinien się już był znajdować. Ujrzałem w istocie dużo świeżych tropów, lecz gdy wiatr był niekorzystny, przypuszczałem, że owce, jeśli tu były, musiały się już wynieść. Nie chciałem jednak nie dokończyć mej wyprawy. Przepełzawszy zatem jeszcze jeden kannon, wychyliłem się ponad brzeg jego, i ujrzałem nagle kilka leżących baranów w odległości 150 do 200 kroków. Wszystkie leżały tyłem do mnie, jeden tylko był ku mnie zwrócony, i ten, ujrzawszy mnie, skoczył i jął umykać. Czemprędzej więc strzeliłem do najbliższego z leżących, wziąwszy lustro na cel. Farbował mocno, ale w tej chwili wszystkie barany rozprysnęły się w rozmaitych kierunkach. Niektóre przebiegały koło mnie na 80 kroków. Spodziewałem się, że będę mógł dublować do którego, lecz w tej chwili dał mój ekspres ognia z obu luf naraz (złe to jego przyzwyczajenie, któremu już niejeden ciężki policzek zawdzięczam) — a zanim zdołałem włożyć naboje, odsadziły się już barany na 300 do 400 kroków. Strzeliłem wszakże, a po danych strzałach padł baran na miejscu i już się nie ruszył.

W tem zamięszaniu straciłem z oczu pierwszego postrzelonego barana i już nie mogłem ani farby, ani tropu jego odszukać. I drugiego, któremu, jak mi się zdaje, także dobrą wsadziłem kulę, nie odnalazłem. Podszedłem więc do trzeciego, który leżał na miejscu. Miał on w jednym z rogów kulę, która go powaliła, oprócz tego drugą, która siedziała w komorze.

Był to baran sześcioletni; rogi jego mierzyły $28^1/_2$ cali, objętość u spodu wynosiła $14^1/_2$ cali. Uciąłem baranowi głowę i puściłem się z powrotem. Zrazu było mi markotno, żem całegoj stadka tylko jedną sztukę zdobył, ale marsz kilkogodzinny z 30-funtową baranią głową na plecach, aby się do konia mego dostać, uspokoił mnie bardzo i byłem zadowolony, że mi nie przyszło więcej trofeów myśliwskich dźwigać.

Przeł. *St.*

KORESPONDENCYE.

Z pod Jasienia w listopadzie.

(Z rykowisk jelenich.)

Podaję wam wiadomości o łowach na jelenie w ciągu tegorocznego rykowiska w naszych górskich kniejach.

Na łowy te przybyli 18. września do Kuźmieńca (ad Jasień) panujący ks. Jan Liechtenstein, ks. Henryk Liechtenstein, hr. Andrzej Zamoyski i hr. Andrzej Potocki, jako gospodarz. Książę Jan Liechtenstein i hrabia Potocki odjechali po ośmiodniowym pobycie, drudzy zaś panowie przebywali przez trzy tygodnie w górach.

Rykowisko tegoroczne było prześliczne. Pogoda sprzyjała jak rzadko kiedy; o wilkach, które zazwyczaj przez cały rok włóczą się po lesie i często powodują niemiłą przerwę w rykowisku, tego roku ani słychu — słowem wszystko złożyło się na to, aby myśliwym pobyt w górach uprzyjemnić, a nowego gospodarza zachęcić do dalszej nad karpacką knieją opieki.

Obszar leśny, dzierżawiony przez hrabiego Potockiego do polowania, jest istotnie imponujący. Obejmuje on w Jasieniu (kamer.) 15.000 hektarów, w Łopiance (kamer.) 8.000 hektarów, w Perehińsku (metropolit.) 28.000 hektarów, w Suchodole (kamer.) 11.000 hektarów, a więc razem 62.000 hektarów, pominąwszy już terytorya łowieckie na gruntach gminnych w Perehińsku i na ekwiwalencie gminy Niebyłów, położonym w rewirze Jasieńskim pod Ihrowyszczem.

W Łopiańce i Suchodole dotąd nie polowano, i chociaż stan jeleni w rzeczonych dwóch rewirach od kilku lat znacznie się podniósł, jednakże stwierdzono, że podczas rykowiska przechodzą jelenie w lasy Perehińska.

Panowie myśliwi zamieszkują podczas polowania pawilon myśliwski na Kuźmieńcu, przybudowany do tamtejszej leśniczówki w r. 1888 sumptem ś. p. Artura Potockiego. Budynek ten z drzewa limbowego, składa się z pięknej sali jadalnej, taflowanej drzewem limbowem i kilku pokoi sypialnych. Tu jest główna kwatera myśliwska i stąd urządzają pp. myśliwi dalsze lub bliższe wycieczki w lasy Perehińskie lub Jasieńskie.

Rezultat tegorocznych łowów był następujący: książę Jan Liechtenstein ubił na Matachowie (Jasień) 2 jelenie dziesiątaki; książę Henryk Liechtenstein także na Matachowie 1 jelenia dwunastaka, a na Czornej ryczci (Perehińsko) 3 jelenie: czternastaka, dwunastaka i dziesiątaka; hr. Zamoyski Andrzej ubił pod Gorgonami (Jasień) 4 jelenie: dwa czternastaki i dwa dwunastaki, a na Perehińskiem jednego czternastaka; hrabia Andrzej Potocki ubił w dwóch dniach na Todorze i na Pjetrosie w Perehińsku 5 jeleni: trzy szesnastaki, jednego czternastaka i jednego dwunastaka. Wynik

łowów był więc wspaniały, gdyż padło razem 16 jeleni, t. j. w Jasieniu 7, a w Perehińsku 9 sztuk.

Rogi ubitych jeleni są przeważnie bardzo piękne, a mianowicie przedstawiają się szesnastaki hrabiego Andrzeja Potockiego wspaniale; zaraz za niemi idą czternastaki hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. W ogóle prócz jednego dziesiątaka nie było tego roku lichych rogów; wszystko piękne okazy, jakich w Alpach nigdy nie widać, a już szesnastak hr. Potockiego i czternastak hr. Zamoyskiego to egzemplarze, którym na każdej wystawie pierwszeństwo przyznaćby musiano.

Stan jeleni w Jasieniu i Perehińsku powiększa się z roku na rok. W każdym rewirze urządzono zwyż 50 lizawek, które co roku na nowo napełniać trzeba. Celem tępienia wilków używa się wszelkich możliwych środków, które to usiłowania rok rocznie dobre wydają rezultaty. To też obecnie w Perehińsku liczą co najmniej 400, a w Jasieniu około 250 sztuk jeleni, obejmując oczywiście tą cyfrą łanie, łańki, szpiczaki etc., a więc cały stan grubej rochmannej zwierzyny.

Szkoda tylko, że ofiarą strychniny padło już wiele niedźwiedzi, bo chociaż ich nie tak wiele znaleziono, jednakże ubytek tego zwierza coraz jest widoczniejszym, a przecież na tem urok całej kniei, przynajmniej według mego zdania, wiele ucierpiał.

Książę Jan Liechtenstein, który pierwszy raz polował w naszych górach, tak sobie upodobał knieję karpacką, że ma podobno zamiar nabycia jakiegoś majątku w Karpatach, na czemby kraj, a względnie gospodarstwo leśne i łowiectwo bez wątpienia tylko zyskały.

Książę podchodził kilka bardzo grubych jeleni na Matachowie (Jasień), ale nieprzyzwyczajony jeszcze do bardzo uciążliwego w naszych górach podchodzenia, nie mógł dać celnego strzału. *R.*

Krzeczkowa w listopadzie 1890.

(Przedwczesne śniegi. — Z rykowisk sanockich.)

W dniu 27. i 28. października spadły w naszej okolicy śniegi do metra grubości miejscami dochodzące. Śnieg mokry czepiał się drzew i dziesiątkował conajmniej drzewostan sosnowy i brzozowy, inne drzewa jakoś trochę lepiej sie opierały, choć i te nie wyszły bez szkody.

Dnia 28. wyszedłem popołudniu do lasu, brnąc z wysileniem przez śnieg, lecz trud ten znakomicie mi się pysznym widokiem odpłacił. W lesie cisza tak głucha, że bicie swego serca słyszeć można, najlżejszy powiew nie poruszył liściem, drzewa jak kolumny marmurowe stoją obok siebie, okryte tak szczelnie śniegiem, jak baba wielkanocna lukrem; od czasu do czasu tylko trzask, łomot i sosna lub brzoza pada jak wielkości przystało, druzgocąc młodsze pokolenia i pokrywając na chwilę tumanem śniegu siebie i najbliższych. Zwierzyna, płoszona po ciszy nagłym hukiem, przebiegała ciągle po lesie. Nigdy jeszcze tyle sarn i zajęcy w wolnym lesie nie zdarzyło mi się widzieć ile tego dnia. Miałem oprócz tego jeszcze jeden ciekawy widok, t. j. lisa goniącego zająca. Gnał go jak gończak, tylko milczkiem, bez głosu. Obłożyły koło mnie kilkanaście razy, to pokazując mi się, to kryjąc, lecz ani razu wielce szanownego myśliwego na cel wziąć nie mogłem, gdyż odległość była za wielką. Nie dowiedziałem się nawet, jak polowanie wypadło, bo wyszły na pole i już ich więcej nie widziałem, a zanadto byłem zmęczony, aby biegnąć za tymi śmiertelnymi wyścigami.

Lisów tu mnóstwo, zamierzamy się więc do nich naprawdę zabrać, bo by nam zwierzynę wyniszczyły, jak wyniszczyły babom tutejszym kury. Są gospodynie, którym od wiosny po dwadzieścia kur lisy zabrały.

Słonek mieliśmy aż do śniegu dużo. Ja sam, bez podgonki i zachodów, jedynie tylko z wyżłem, i to jak na słonki zanadto gorącym, zabiłem 11 sztuk. Mądry to ptak, zawsze tak się wyrywa, aby między niem a myśliwym było drzewo, krzak, łom, w ogóle coś, co by go od strzału zasłonić mogło. A jak go trudno na ziemi upatrzyć! Raz stanął mi pies na czystym lesie, doszedłem do niego, a za mną mój leśny, i przez dłuższą chwilę upatrywaliśmy szczegółowo przechodząc oczami z miejsca na miejsce i nie mogliśmy zobaczyć słonki, do której to pies stał, choć, jak się po zerwaniu okazało, siedziała może na 5 kroków przed nami, na spadłych świeżo bukowych liściach, i choć nieraz przez miejsce to oczy nasze się prześlizgnęły. Niestety! obecnie odleciały już te tajemnicze długodzióby, a czy kiedy i w takiej ilości do nas jeszcze wrócą?

Zwierzyna w tym roku znakomicie wygląda, tłusta, zdrowa i stan jej, szczególniej sarn, wcale ładny. Oby tylko można dwunożne lisy wyłapać! A mam ich u siebie czterech — kutych kłusowników, co to słyszą jak trawa rośnie, a mają jakieś psie szczęście, tak, iż zawsze wywinąć się potrafią. Nie tracę wszakże nadziei, że mi kiedyś przecie wpadną w łapy.

W końcu września wyjeżdżałem na rykowisko w góry sanockie, zaproszony do Stoposian. Przy tej sposobności chciałem sobie psa na dziki gdzieś tam kupić, o którego miejscowy leśniczy miał mi się wystarać.

O ślicznej pogodzie, po przymrozku nocnym, przy najlepszych prognostykach i humorach, wyruszyliśmy rano do lasu, mając zamiar najprzód psa przezemnie zakontraktowanego na dzikach spróbować, a następnie polować na jelenie. Zanim dojechaliśmy do lasu, zaczęły pojedyncze cieniuchne płateczki śniegu trzepotać się, po prawie zupełnie czystym niebie, nareszcie i lekki wietrzyk od połonin zaczął zaciągać i chmurka za chmurką wysuwać się na strop niebieski... aż się w końcu wicher z chmurami za łby porwały i zrobiły zawieruchę iście marcową.

Pomimo tego, udając wielkich zuchów, nie zawróciliśmy naszych szłapaków do domu, lecz podyrdaliśmy dalej i w pierwszy nadybany potok, posądzany o ukrywanie dzików, kazaliśmy psa puścić. Rzeczywiście w chwilę po puszczeniu psa usłyszeliśmy gon tegoż, lecz jakiś nienaturalny, jakiś piszczący, skomlący i po nie długim czasie wszystko ucichło. Nie był to gon, i nie były tam dziki, lecz wilki, które biednego Oskę bez wszelkiego parlamentowania na surowo zjadły. W godzinę później wilki te wyszły na naszych trzech strzelców, prowadzących psy na swórkach, lecz ci dzielni myśliwi mieli zamki u strzelb poobwiązywane chustkami, a wilczyska ani rusz poczekać nie chciały, aż oni tualetę ze strzelbami zrobią.

Od dnia tego szczęśliwego, przez cztery dni następne, lało tak, że nosa za próg wystawić nie można było, a co za tem idzie, jelenie przestały ryczeć, tak, że można powiedzieć, iż w roku tym tutaj rykowiska nie było. Jeleni po za Lutowiskami było w jesieni bardzo mało, co tem bardziej dziwi, że aż do połowy lipca taka masa tychże w lasach tamtejszych była, jak nigdy jeszcze. Musiały przeczuć chyba tę naszą tegoroczną zgniłą jesień i wyniosły się na wesela do Węgier, tej drugiej swej ojczyzny. Już od kilku lat poluję w okolicy Stoposian, lecz nigdy tak mało jeleni nie zauważyłem jak w tym roku.

Już to sługa wasz stanowczo szczęścia do jeleni nie ma. Polowałem już na jelenie razy sześć, każdą razą najmniej przez dni cztery, to jest razem wziąwszy polowałem 24 dni, a pomimo, że przy mnie strzelano na każdem polowaniu po kilka lub kilkanaście razy, ja do strzału ani razu przyjść nie mogłem.

Raz słyszę ryczącego jelenia, postępującego wprost na mnie, to porykuje, to postępuje naprzód, coraz bliżej i bliżej, nareszcie już słyszę, jak idąc łamie gałęzie, drżę cały jak we febrze, ząb o ząb jak na sumę dzwoni, przygryzam wargi do krwi, aby zapanować zapomocą bolu nad rozhukanymi nerwami — spoglądam nie wiem już który raz na kurki, czy odwiedzione, obiecuję strzelbie, że ją ucałuję, jak mnie nie zawiedzie — a w tem paf! przedemną, łomot jak by las się walił, i coraz ciszej, aż ucichło zupełnie. To jeden z leśnych nie mogąc dotrzymać, a myśląc, że tu nikt nie stoi, wlazł przedemnie i sprawił mi tę radość, a przy tem tak się urządził, że strzelił na metr pod brzuch jelenia, przez to w sam środek buka kulą. Proszę sobie wyobrazić, jaką mu przyjemną twarz okazałem...

Takie to czasami los człowiekowi figle płata. Ot i ten nie zgorszy. Jastrząb uderzył przy mnie na gołębia i złapał go, strzeliłem za nim, nim zdołał się z ziemi poderwać. Jastrząb uleciał zdaje się kompletnie zdrów, a gołąb dostał 4 śróty i naturalnle nie podniósł się więcej.

Albo to: jastrząb wpadł za kurą do chłopskiej sieni. Baba, która tam właśnie masło robiła, nakryła spodnicą czy tam fartuchem jedno i drugie i powiada trzymając silnie: „Pocekaj selmo, dom ja tobie moją gadzinę mordować“ i ukręca głowę jastrzębiowi, a kurę puszcza, która... najswobodniej uleciała w powietrze jako jastrząb, gdyż baba, nie zajrzawszy do fartucha, które za głowę trzyma, ukręciła głowę kwoczce, a jastrzębia wypuściła.

Ha, no — przy wyścigach ludzkich do szczęścia bywają także podobne nieporozumienia. *W. Z.*

Kamienna dnia 10. listopada 1890.

(Ciąg słonek.)

Od wielu już lat włóczę się z pukawką, a największą przyjemność sprawia mi zawsze polowanie jesienne na słonki. To też dnia nie opuszczę przez całą jesień, by się nie przekonać, czy przypadkiem nie nadciągnęły. Różnie to już bywało. Pamiętam ciągi bardzo obfite, ale krótkie, a jeżeli długo ciągnęły, to po parę sztuk zaledwie w naszych lasach można było widzieć. Pamiętam parę takich jesieni, że i długo i obficie ciągnęły, ale podobnie dziwnego ciągu jak w tym roku nie pamiętam.

Skoro tylko pierwszą słonkę spotkałem 14. września, zacząłem pilnie śledzić, lecz długi czas ciągu nie było. Znając wszystkie miejsca, gdzie się lubią zatrzymywać, objeżdżałem takowe codziennie — lecz nadaremnie. Zwątpiłem już nareszcie, gdyż na ogromnym obszarze znalazłem ledwie 5 słonek i do d. 14. października widziałem zaledwie po kilka dziennie. Chodząc tak po miejscach, które znałem jako ulubione stacye słonek, zaglądnąłem 14. października w kawałeczek dębinki, okrawka, gdzie nigdy prawie słonek nie było. I jakież było moje zdziwienie, a przytem i radość, gdy na tym kawałeczku, zaledwie 18-morgowym znalazłem do południa 22 słonek. Po południu tedy wybrałem się ze sporym zapasem nabojów, sądząc, iż jeżeli tam tyle znalazłem, cóż dopiero będzie gdzie indziej? Niestety, obszedłem kilkaset morgów i ani jednej nie widziałem; dopiero pod wieczór, wróciwszy do mojej dębinki, znalazłem jeszcze jedną. Do dnia dzisiejszego nie opuściłem dnia, bym tam nie był, i znachodziłem tam zawsze po kilka i kilkanaście sztuk, a na innych miejscach wielkiego obszaru przez cały sezon ledwie parę słonek. Dlaczego one upodobały sobie ów skrawek dębinki, trudno mi zrozumieć, tem bardziej, iż niedaleko zupełnie podobne jest miejsce, a przecież tam się nie zatrzymują.

Dziś wróciłem prawie z niczem, bo tylko 2 słonki znalazłem, lecz nie tracę nadziei, że ciąg jeszcze się nie skończył i że moja dębinka jeszcze mi dopisze, choć i dotychczas już dopisała, bo dała mi zwyż 100 sztuk słonek. Jest to wynagrodzenie za błotne ptactwo, którego w naszej okolicy prawie nie było.

Zajęcy w tym roku jest znacznie więcej niż w zeszłym, natomiast kuropatwy prawie znikły. Dzików w naszych stronach spodziewamy się. Ściągnie je niezawodnie żer obfity, gdyż buczyna i dębina zrodziły. *G. Głuchowski.*

Zaczernie (pod Rzeszowem) d. 10. listopada.

(Żaby jako szkodniki dla ptactwa.)

Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, aby ktoś wskazał żabę jako niszczycielkę ptactwa. Gdy o fakcie takim miałem sposobność osobiście się przekonać, podaję go przeto do wiadomości.

W sierpniu tego roku, gdym przechodził przez łan, na którym ustawione były gęsto snopy bujnej pszenicy, z pod nóg moich burknęła przepiórka, starka, a po kwileniu jej, jak również i po tem, że zapadła o kilkanaście zaledwie kroków, poznałem że to matka od dzieci, które w tem miejscu tuż przy mnie być muszą. Zatrzymałem się przeto i w istocie usłyszałem w ścierni pisk małych ptasząt. Schyliwszy się do ziemi, ujrzałem przepióreczki maleńkie. Wołam tedy chłopa i mówię mu: „Weź-no ten drobiazg, wyzbieraj i zanieś tam na łąkę, bo jak będą ludzie snopy wiązali, to wydepczą to biedactwo“.

Chłop kapelusz nadstawił i złożyliśmy w nim 11 sztuk przepiórcząt. Lecz opodal, zaraz na drugim zagonie, słyszę pisk jeszcze jednej sztuki, zwracam się więc i szukam, lecz pisk ucichł i ja ptaszyny dojrzeć nie mogłem. Schylam się do ziemi i na kolanach pełzam, rozgartując rękoma ściernie, nic jednak nie widzę, ale szukam wytrwale, bom pewny, że tu w tym punkcie ptaszynka być musi. I cóż widzę? Oto zamiast niej spostrzegam żabę, której z pyska coś wygląda, tak, jakby nóżki ptaszyny. Chwytam ją i z paszczy jej dobywam małe przepiórcze, które przed minutą tu się odzywało, a teraz już było nieżywe i prawie zmiażdżone. Za chwilkę byłaby je połknęła, a ja, nie wiedząc o tem, byłbym morderczyni a taką zbrodnią wcale nie posądził. Przypłaciła to życiem, ale zarazem stała się powodem nieszczęścia dla swego rodu, bo odtąd zbrodnia jej pozostała mi w pamięci i każdą gdziekolwiek zdybaną żabę zabijam bez litości.

Żaba ta była duża, ciemno-zielonego koloru, a powierzchu od głowy do końca tułowiu miała pręgę czarną. (Zapewne zwykła żaba trawna, *Rana temporaria* Przyp. Red.)

Nie wiem, jaki apetyt miała owa żaba i ile piskląt była ona wstanie spożyć, to jednak przypuszczam, że ta kanalja byłaby się ciągle za stadkiem posuwała i zdradziecko chwytając po jednemu, byłaby wytępiła całą tę rodzinę. Jakież to masy tych ptasząt ginąć muszą od drapieżników, których nikt jeszcze o tępienie ptactwa nie posądził, tak jak się nie

domyślił, że i nędzna żaba, wypatrzywszy gniazdko, na którem wysiaduje przepiórka lub inny ptaszek, krąży w koło niego i wyczekuje chwili sposobnej, ażeby pisklę porwać.

Jan Mazaraki.

Sprawozdania łowieckie.

— W Hoszanach, majętności Wnych Państwa Janków, odbyło się dnia 11. listopada polowanie z nagonką, którego wynik był nadzwyczaj świetnym. Knieja Hoszańska słynie oddawna z wielkiej mnogości lisów i rokrocznie pada ich na polowaniu, urządzanem na czarnej stopie, znaczna ilość. Tegoroczne jednak polowanie przeszło wszelkie oczekiwania i zachwyciło nawet najwybredniejszych.

Od lat kilku na polowaniach w tej kniei nie strzelamy wcale do zajęcy, oddając się z całem zamiłowaniem wyłącznie tępieniu mykitów, i na prośby też nasze, jako długoletnich uczestników tych słynnych lisich polowań, szanowny gospodarz, p. Stefan Janko, nie zastosowuje przeciw lisom żadnych radykalniejszych środków, zostawiając nam przyjemność strzelania tychże na każdem stanowisku.

Wynik tegorocznego polowania przedstawia się jak następuje: w 12 strzelb ubiliśmy 26 lisów i 3 rogacze na 86 strzałów. Król polowania, p. G. z Tuligłów, położył 6 lisów, a byli i tacy wybrańcy Diany, którzy na jednem stanowisku do czterech lisów strzelali. Świetne prowadzenie łowów i znana gościnność gospodarstwa przyczyniła się do uświetnienia tych godów myśliwskich. Oby Bóg dał, byśmy za rok znów wszyscy stanęli do apelu i znów w szeregach Hoszańskich mykitów znaczny uczynili wyłom!

Leopold Łysakowski.

— W Dunajowie, w dobrach arcybiskupich, w których polowało Kółko myśliwskie dunajowskie, odbyły się w dniach 3., 4., 5. i 6. listopada polowania, na których w dziesięć strzelb ubito na czarnej stopie dzików 3, rogaczy 8, zajęcy 73, lisów 11, słonek 6 i jednę kunę leśną, to jest razem 102 sztuk. Polowanie było świetnie prowadzone przez p. dyrektora Torskiego, szybko, bo z podwójną nagonką. W każdym miocie strzelano, a strzałów padło 284.

W porównaniu z zeszłorocznem polowaniem w tym rewirze w analogicznej porze i warunkach, rezultat ten nazwać można świetnym, zwłaszcza że liść jeszcze padał, a więc zając w polu, dziki zaś wyniosły się w głębsze lasy.

Liczba towarzyszy dunajowskich powiększyła się o dwóch, t. j. 16. Na tej liczbie lista jest zamkniętą. Nastąpiło to wskutek niestawienia się sześciu towarzyszy, a zważywszy, że to może nastąpić każdego polowania, i że stanowisk w każdym miocie jest 14, więc jednogłośnie zostali dobrani na towarzyszy panowie Tchórznicki i hr. Skarbek, zwłaszcza że przybyli jako goście i mieli ochotę przystąpić.

M. Tyszkiewicz.

— W Krasowie, koło Szczerca, własności p. D. Abrahamowicza, odbyło się d. 23. października polowanie w dziesięć strzelb. Miotów wzięto jedenaście, strzałów padło 94, ubito: 20 zajęcy, 5 lisów, 7 słonek i jednego zdziczałego kota.

KRONIKA.

† Dr. Maksymilian Nowicki.

W chwili, gdyśmy rozsyłali ostatni numer naszego pisma, doszła nas bolesna wieść o zgonie dr. Maksymiliana Nowickiego. Nie mogliśmy już poświęcić zmarłemu żałobnych słów pożegnania, jakie się mu w szpaltach „Łowca“ należą. Dopiero dziś, składamy hołd uznania i czci u trumny jednego z najpierwszych przyrodników polskich.

Koleje życia tego wytrwałego pracownika były dość ciężkie. Rzadko spotykał róże na swej drodze — częściej głogi i ciernie. Pracował przecież nie oglądając się na nic, byle tylko służyć nauce, rozświecać tajniki przyrody, i być użytecznym Ojczyźnie.

Oto krótka biografia jego, jak ją sam ś. p. Nowicki skreślił do pamiętnika uniwersyteckiego:

Urodzony 9. października 1826 r. w Jabłonkowie, w Galicyi, ukończywszy w r. 1846 gimnazyum we Lwowie i na lwowskim uniwersytecie dwulecie filozoficzne, zapisał się śp. Maksymilian na lwowski wydział prawny. Wypadki 1848 r. spowodowały go do przeniesienia się do Stanisławowa, a reforma, wprowadzająca nauki przyrodnicze do szkół, otwarła mu drogę do dalszej karyery. Brak jednak środków zmusił go zdać egzamin na nauczyciela szkół ludowych i na stanowisku tem spędził jakiś czas w Brodach, a następnie w Płotyczy. Zwrócił na siebie uwagę zbiorami naukowymi, które ofiarowywał gimnazyom, i w r. 1852 został mianowany zastępcą nauczyciela przy gimnazyum samborskiem, po zdaniu zaś egzaminu na niższe gimnazyum w 1854 roku, nauczycielem rzeczywistym.

W r. 1857 zdał w Wiedniu egzamin na całe gimnazyum, poczem przeniesiono go z Sambora do Lwowa; w roku 1863 otrzymał stopień doktora filozofii i został powołany przez Uniwersytet Jagielloński na profesora nadzwyczajnego. W trzy lata potem ofiarowano mu katedrę profesora zwyczajnego.

W r. 1869 odbył podróż naukową po Niemczech; w 1871 udał się nad Adryatyk. Od czasu założenia krakowskiej Akademii umiejętności był czynnym jej członkiem; na godność tę zaprosiły go także liczne Towarzystwa naukowe w Austryi, Niemczech i Rosyi, tudzież Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu.

Cenne prace śp. Nowickiego doznały poważnych odznaczeń i rozeszły się szeroko. Towarzystwo naukowe krakowskie przyznało mu w r. 1870 za szereg prac pięciolecia 1865 — 1869 nagrodę 500 zł. z fundacyi naukowej ks. J. R. Lubomirskiego. Uczeni badacze nadali od niego nazwiska nowo odkrytym gatunkom, jak: *Phytocoris Nowicki, Fieber. Chilosia Nowicki, Löw. Tetragnatha Nowicki, L. Koch* i inne.

Kazimierz Wodzicki dedykował mu swe dzieło: „Historya naturalna i hodowla ptaków“. Lwów, 1864, zaś hr. Wł. Dzieduszycki dzieło „Muzeum imienia Dzieduszyckich“. (Cz. II.) Lwów, 1868. Za pożyteczne i skuteczne prace w przedmiocie rybactwa, otrzymał liczne odznaczenia, a mianowicie: uznania listowne w r. 1883 od austryackiego i pruskiego następców tronu, jako protektorów rybactwa, medale: srebrny królowej Wiktoryi z wystawy rybackiej w Londynie 1883, dyplomowany złoty z wystawy w Wieliczce 1883, wielki srebrny od Towarzystwa aklimatyzacyjnego w Paryżu 1884, bronzowy z wystawy w Redl w Górnej Austryi 1885, srebrny z wystawy rybackiej w Moskwie 1887, dyplomy honorowe od niem. Tow. ryb. w Berlinie 1881, węg. w Aranyos-Maroth 1882, z wystawy ryb. w Londynie 1883, od rosyjskiego Tow. aklim. w Moskwie 1886 i prusk. Tow. ryb w Gdańsku 1886.

Oprócz mnóstwa rozpraw naukowych z zakresu zoologii, a w szczególności entomologii i ichtyologii, umieszczanych w najrozmaitszych pismach naukowych polskich i zagranicznych, zasłużył się wielce szkolnictwu opracowaniem podręcznika zoologii, najprzód dla niższego, a później dla wyższego gimnazyum. Naukę, którą przedtem uprawiano na podstawie książek suchych, będących tylko indeksem systematologicznym, potrafił uczynić zajmującą, ciepłą, żywą przez

szerokie uwzględnienie materyału biologicznego, a nadto przez podniesienie na pierwszy plan tego wszystkiego, co naszej fauny rodzinnej dotyczy. Pierwsze wydanie zoologii dla klas niższych przekraczało może granice planu lekcyjnego, lecz ileż tam było opisów zajmujących, jak plastycznie i jak dzielnym językiem skreślonych, ile przebijało się z tej książki miłości dla przyrody i dla kraju ojczystego! Jeżeli między dorosłą i dorastającą młodzieżą podniosło się zamiłowanie przyrody, i interes dla wszystkiego, czem nas przyroda krajowa obdarza, to w pierwszym rzędzie Nowickiemu i jego książce mamy to do zawdzięczenia.

W ostatnich latach swego działania, poświęcał śp. Nowicki wiele sił i starań na podniesienie gospodarstwa rybnego w kraju, a mianowicie racyonalnej ochrony ryb, zasilania zarybkiem naszych wód, wprowadzania tam nowych gatunków, a wreszcie i sztucznej hodowli ryb. Był on założycielem i duszą krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie. Niemałą przysługę rybactwu oddał również wydaniem atlasu kolorowanego (Kraków 1887) p. t. „Ryby dorzeczy Wisły, Styru, Dniestru i Prutu“ wraz z odnośnymi opisami i objaśnieniami, do którego to wydawnictwa i Wydział krajowy się przyczynił.

D. 24. października 1888 obchodził śp. Nowicki dwudziestopięcioletni jubileusz działalności swojej na stanowisku profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, i przy tej podniosłej uroczystości doczekał się ze wszech stron zasłużonego uznania. (Patrz: „Łowiec“ r. 1888 N. 11.)

Jako profesor, umiał śp. Nowicki zaszczepiać w sercach swych uczniów zamiłowanie do studyów przyrodniczych, i łączyć je z gorącą miłością dla przyrody kraju rodzinnego. Sam cichy, skromny, nie łaknący zaszczytów, zatopiony w swych badaniach, żył jedynie dla nauki i dla dobra ogółu, zapominając o sobie.

To też nauka polska utraciła w nim jednego z najlepszych i najżarliwszych swych przedstawicieli, Ojczyzna jednego z prawdziwie miłujących ją synów.

Z Krakowa donoszą, że kraj. Towarzystwo rybackie postanowiło uczcić pamięć śp. Nowickiego jako swego założyciela pomnikiem, który ma być nad brzegiem Wisły wzniesiony.

---

† Antoni Waga, najstarszy z przyrodników polskich, zmarł dnia 23. listopada w Warszawie. Zgasł cicho i spokojnie jak lampa, która dogorywa. Śmierć nastąpiła w skutek wyczerpania sił w przeszło dziewiędziesięcioletnim starcu, nie poprzedzona żadną chorobą.

Antoni Waga urodził się d. 8. maja 1799 r. we wsi Grabowie, w gub. łomżyńskiej, i po ukończeniu szkół pozyskał w uniwersytecie warszawskim stopień magistra filozofii. Wysłany przez władzę edukacyjną za granicę, uzupełnił studya przyrodnicze w uniwersytecie berlińskim i powróciwszy do kraju w r. 1823, poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu.

Po paru latach działania w szkole wojewódzkiej w Warszawie, został profesorem w liceum warszawskiem, następnie w instytucie pedagogicznym, a w końcu starszym nauczycielem gimnazyum w Warszawie i na tem stanowisku dosłużył się emerytury.

Ś. p. Waga był od najmłodszych lat zapalonym miłośnikiem przyrody i zbieraczem. Brak środków nie pozwalał mu wszakże poświęcać się w całości temu zamiłowaniu. Dopiero uzyskawszy profesurę gimnazyalną, rozpoczął całą duszą studya nad przyrodą, a w szczególności wycieczki entomologiczne. Z rówieśnikiem swoim i również gorącym miłośnikiem przyrody, Wojciechem Jastrzębowskim, odbył kilka wycieczek po kraju, których owocem były artykuły, zamieszczane w rozmaitych pismach lub wydawane oddzielnie broszury, i bogacące się coraz bardziej zbiory entomologii krajowej.

W r. 1864 z hr. Brunickim, z którym łączyły go związki przyjaźni, odbył pierwszą podróż do Egiptu i Nubii, a we dwa lata później drugą, w której uczestniczył także zmarły niedawno ornitolog, Władysław Taczanowski. Obiedwie te podróże przyczyniły się niemało do wzbogacenia gabinetu historyi naturalnej w Warszawie.

Jako pisarz, śp. Waga należał do wzorowych prozaików, był współredaktorem i współpracownikiem *Biblioteki warszawskiej* od czasu jej założenia i tu też zamieszczał celniejsze swoje prace, których wiele wyszło także w osobnych książkach i broszurach.

Z rzędu wybitniejszych prac znakomitego przyrodnika wymieniamy: „Atlas do nauki historyi naturalnej“ z 222 kolorowanymi rycinami (Warszawa, 1860), „O nowym szczególnym gatunku pszczołowatego owadu“ (Warszawa, 1826), „Historya naturalna“ (Warszawa, 1859), „Książka dla dobrego chłopca“ (Warszawa, 1826), „Historya naturalna i opisanie znaczniejszych zwierząt, menażeryę van Dintera z Amsterdamu składających“ (Warszawa, 1827), „Podróż z Berlina do Lipska“ (Lipsk, 1821), „Rozprawa o naukach przyrodzonych“ (Warszawa, 1819), „Rozprawa o ptakach“ (Warszawa, 1845), „Teorya gospodarowania wewnętrznego, czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodarzom, dla użytku instytutów żeńskich“ (Warszawa, 1828 i 1837), „O turach i żubrach“ (Warszawa, 1843), „Wiadomości z nauk przyrodzonych dla użytku szkoły guwernantek“ (Warszawa, 1826), „O zwierzętach przez poetów i malarzy zmyślonych“ (Warszawa, 1820).

Towarzystwo myśliwych. Tymi dniami odbyło się w lokalu Rady powiatowej, w Rzeszowie, zgromadzenie tamtejszego Towarzystwa myśliwych. Po sprawozdaniu wydziału za rok ubiegły, przystąpiono do wyborów. Prezesem wybrany został podpułkownik Mastny, jego zastępcą prof. Jaworski, sekretarzem, oraz kasyerem p. Aleksander Kraus, wydziałowymi pp. Szczepan Jabłoński i porucznik Rosenauer. Do Towarzystwa przystąpili ostatnimi czasy liczni człokowie.

Trzy niedźwiedzie jednego dnia, a mianowicie ogromną niedźwiedzicę i dwa piastuny ubił w czerwcu b. r. leśny w Wetlinie (w pow. Liskim). Leśny ów, nazwiskiem Stolcmann, okazał przy tej sposobności niezwykłą przytomność umysłu, ponieważ atakującą go niedźwiedzicę przypuścił do siebie na 5 kroków i jednym celnym strzałem na miejscu powalił. Zabiwszy niedźwiedzicę, zabił następnie oba piastuny, wielkości dobrych psów, które widząc, że ich matka nie żyje, schroniły się na drzewo.

Dzikie króliki rozmnożyły się w Treptowskim parku publicznym pod Berlinem do takiej mnogości, że gazony i ścieżki są podminowane, a drzewa i krzewy przez ogryzanie kory uszkodzone. Teren nie pozwala urządzić polowania na szkodniki. Zarząd parku zamierza więc truć je w ciągu zimy.

Bułgarya obfituje w liczne zwierzęta drapieżne. W ciągu ostatniego sezonu myśliwskiego padło tam 28 nieźwiedzi, a z tych 8 w samejże okolicy Plewny, 633 wilków, a z tych najwięcej bo 76 sztuk koło Szumli, oprócz tego liczne żbiki, lisy, kuny i t. p. Tytułem strzałowego za tępienie drapieżców wypłacił rząd 5.265 franków.

Czaple pióra. Wedle dat urzędowych węgierskiego ministra handlu, biją corocznie na olbrzymich błotach Slawonii, oprócz mnóstwa dzikich gęsi i kaczek, około 20.000 czapel. Skórki z tych czapel transportują do Niemiec i Francyi, gdzie z nich wyrabiają rozmaite pióra ozdobne.

Broń gazowa Giffarda. Paryski *Temps* podał bliższe wiadomości o gazowej broni palnej, którą wynalazł Francuz Giffard. Z uwagi, iż system ten do strzelb myśliwskich ma być zastósowanym, powtarzamy doniesienie francuskiego dziennika.

Jak wiadomo, przy broni Giffardowskiej staje się całkiem zbytecznym proch strzelniczy i kabzla. Siłę wybuchową zastępuje tu kropla komprymowanego gazu, posiadającego nadzwyczajną siłę prężenia. Kropla ta, padając w komorę poza ładunek kuli czy śrótu, rozpręża się i wyrzuca pocisk z lufy, jak siła gazów wybuchającego prochu. W miejscu, przeznaczonym zazwyczaj na ładunek prochu, mieści się mały, silny cylinder stalowy z 300 kroplami rzeczonego gazu. Jeśli się kurek pociśnie, wypuszcza odpowiedni przyrząd jedną kroplę z owego cylindra, i ta, przechodząc napowrót w stan lotny, zastępuje eksplozyę prochu. Wielkość kropli, a tem samem i siłę prężenia, wedle tego, czy strzał ma być danym na większą lub mniejszą odległość, można regulować za pomocą stósownej śrubki.

Broń nie doznaje uszkodzenia i nie zanieczyszcza się od gazu. Nadto, nawet przy ciągłem strzelaniu, nie rozgrzewa się lufa, gdyż komprymowany gaz, przechodząc w stan lotny, pochłania dużo ciepła i obniża temperaturę, która się podnosi w lufie skutkiem tarcia pocisku o jej ściany. Przechodzenie gazu płynnego w stan lotny nie postępuje z jednostajną szybkością, najprzód jest wolniejsze, a wzmaga się w chwili, gdy pocisk ma z lufy wylecieć. W skutek tego nie uderza przy strzale. Huk strzału jest zaledwo taki, jak strzelenie korka z szampańskiej butelki. Gaz nie wywiązuje z siebie dymu, a ma zapach przyjemny.

Broń palną tej konstrukcyi produkował wynalazca w St. Etienne. Trzy ładunki gazu, po 300 kropli, wystarczają strzelającemu, gdyż dozwalają mu dać 900 strzałów, a nie obciążają go zupełnie. Nadto gaz

ten ma być tani; jeden ładunek na 300 strzałów nie kosztuje więcej nad 10 centymów. Skład gazu nie jest bliżej znanym, a wynalazca twierdzi, że można go co do siły wybuchowej wedle woli wzmacniać. Sposób wytwarzania rzeczonego gazu nie jest również kosztowny.

Donioslość wynalazku Giffarda może się stać bardzo wielką. Izba handlowa w St. Etienne ofiarowała wynalazcy dar honorowy 10.000 franków i złoty medal, a jedna z fabryk broni amerykańskich nabyła od niego prawo użytkowania z wynalazku za półtora miliona dolarów. Także jakaś fabryka angielska nabyła to prawo, a oprócz tego utworzyć się miało konsorcyum, celem zużytkowania wynalazku Giffarda na kontynencie. We wszystkich tych wypadkach chodzi wyłącznie o fabrykacyę broni myśliwskiej. Karabin wojskowy na tych samych zasadach oparty, lecz z specyalnymi jeszcze uzupełnieniami, ma być dopiero przez odnośny komitet francuskiego ministerstwa wojny wypróbowany.

Tyle podało jedno z najpoważniejszych pism francuskich Z innych stron podnoszą się powątpiewania, czy w broni Giffarda sprawdzą się te wszystkie nadzwyczajne zalety, któreby jej niezawodnie dały pierwszeństwo ponad bronią wszelkich innych systemów. *Verra qui virra.*

Kule z wolframu, metalu bardzo twardego, trudno topliwego i znacznie cięższego od ołowiu, próbuje zastosować do broni palnej administracya wojskowa w Niemczech. Pociski tego rodzaju mają posiadać niesłychaną siłę przebijania, a szybkość ich pociskowa prześciga szybkość pocisków ołowianych. Za pomocą wolframu spodziewają się zatem pójść jeszcze niżej w średnicy luf i kul, lecz na jądro z wolframu potrzebnym się okazuje płaszczyk z ołowiu, jeśli kula ma się wciskać w gwinty lufy. Jedna z niemieckich kopalni ofiaruje się dostarczyć rocznie 120.000 metrycznych cetnarów wolframu, będącego tam pobocznym produktem przy wytapianiu cyny.

Ostrożnie ze strychniną! Jeden z myśliwych w Sadagórze donosi o następującym wypadku. Chcąc truć lisy, spreparował kawałki pieczonego mięsa strychniną i podrzucił je wieczorem w lesie na lisim przesmyku. Nazajutrz rano spostrzegł, że pierwszego kawałka mięsa nie ma, a o 25 kroków dalej zamiast lisa, znalazł dużego kozła! Od tego czasu preparował tylko ptaszki w pierzu, a obecnie zapytuje w celowieckim *Waidmannsheil,* czy kto nie uczynił już tego dziwnego doświadczenia, że kozioł, choć roślinożerca i przeżuwacz, nie gardzi w danym razie pieczenią.

Powyższy fakt nie jest odosobnionym, gdyż w Nr. 21. łowieckiego pisma, o którem powyżej mowa, przytacza jakiś p. H. A. dwa wypadki, iż znaleziono dwurocznego i jednorocznego rogacza, strutych kawałkami wieprzowiny, zaprawianej strychniną i nastawionej na lisy. Pan H. A. radzi, by dla uniknięcia szkody w stanie sarn, nie zatruwać strychniną mięsa, lecz ryby, które lisy nader chętnie biorą, a ani sarny, ani psy takowych nie tykają.

Sprawa wyżej opisana ma dla nas wagę jeno pod względem ogólnym; w Galicyi bowiem, truje się zwykle lisy zapomocą orzeszków, napełnianych strychniną, a o tych ani jedna, ani druga korespondencya nie wspomina. W każdym razie prosimy naszych myśliwych, aby czynili spostrzeżenia pod tym względem i przesyłali naszej Redakcyi.

Witerunek na lisy. Sposób przyrządzania witerunku, mającego przynęcać lisy do trutki, jest częstokroć przedmiotem dziwacznych recept, będących sekretem myśliwskim, a połączonych z zabobonnymi czynnościami i niepotrzebnymi wydatkami. Jeden z praktycznych, ale nie zabobonnych myśliwych, taką daje na witerunek receptę:

Bierze się jakąkolwiek rybę, sieka się ją surową na małe kawałeczki i wsypuje do próżnej, mocnej butelki, którą następnie dobrze zakorkować i korek drutem do szyjki przymocować należy. Tak napełnioną butelkę wkłada się do kupy gnoju na 8 dni lub dłużej. W ciągu tego czasu, w skutek działania ciepła i powietrza zawartego w butelce, ulega siekanina rybia zupełnemu rozkładowi, tak, że zamiast w kawałkach, jest już całkiem płynną. Płyn ten, po odkorkowaniu butelki, rozszerza okropną woń, która właśnie jest witerunkiem, ściągającym lisy nawet z dalszych okolic, bo lis, jak wiadomo, jest smakoszem ryb, i chętnie za odorem psującego się mięsa rybiego idzie. W witerunku takim macza się orzeszki i świeczki, lub wreszcie zatrute strychniną myszy, ptaszki, albo kawałki mięsa kociego. Witerunek ów odstręcza psy, a zatem zapobiega truciu się zbyt łakomych psów myśliwskich, co się nieraz wydarza, jeśli na przynętą zwykłe mięso i inne witerunki bywają używane.

Witerunek z ryb ma i tę zaletę, że jest najtańszym, a przy sporządzaniu należy jeszcze i na to uważać, aby użyta do tego flaszka była zupełnie czystą i wolną od wszelkich innych odorów. W ostre mrozy nie należy trutki rozrzucać, bo nim zamarznięta przynęta w żołądku lisim roztaje, wlecze się z nią mykita jeszcze światami.

Prosimy o czynienie prób z tym witerunkiem i donoszenie nam o skutkach.

Koty rybołowcami. Rybka to przysmak dla kota, wiedzą o tem wszyscy, ale sądzono zawsze, iż kot trudni się rybołostwem tylko na brzegu płytkich strumyków, gdzie to zarybek tuż pod zwierciadłem wód buja. Tymczasem rybołostwo kotów nie zawsze bywa tak niewinne. Do niemieckiej *Fischer-Ztg.* pisze jeden z korespondentów ze Szląska co następuje: Dozorca rybacki, idąc brzegiem Biały, spostrzegł dwa koty, które oddalone od siebie na 10 metrów, skradały się wzdłuż rzeki, pod wodę. Nagle przyczaił się pierwszy, skoczył w wodę i natychmiast wyszedł na brzeg z porządnym pstrągiem w pysku. W dwie minuty później skoczył drugi kot i złowił także pstrąga. Zdarzyło się to w okolicy Seitenbergu, gdzie jest zakład sztucznej hodowli ryb, i skąd mnóstwo drobnych pstrągów wpuszczają do Biały i jej dopływów.

Myśliwi, jako nieprzyjaciele kotów, włóczących się dziko, powinni więc w miłośnikach rybactwa znaleźć wiernych sojuszników.

Mumię psią zachowują w rycerskiej sali zamku Burgk, należącego do starszej linii książąt Reuss. O znalezieniu tej mumii zdaje sprawę dołączone do niej pismo, które mówi, że mumię wydobyto dnia 19. października 1739 z muru na 4 łokcie grubego, a na 6 łokci ponad bramą zamkową. Schowek był widocznie czerwoną skórą wybity, a wewnątrz znajdował się garnek gliniany, oraz klucz na 7 cali długi i trzema krzyżykami oznaczony. Pies, znaleziony w tym schowku, był tam przed 400 laty zamurowany, jakto z innych okoliczności wypływa.

Bardzo jeszcze dobrze utrzymana psia mumia, ma zatem co najmniej 550 lat, a zamurowanie tłumaczy się zwyczajem barbarzyńskim, który w średnich wiekach obserwowano. Wznosząc ważniejsze budowle, zamurowywano w nich zwykle żyjące zwierzęta, w mniemaniu, że to przynosi tym budowlom szczęście. Pies zmumifikowany jest mały, wielkości dzisiejszego pincza, i nie należał zapewne do rasy wysoko w owym czasie cenionej.

Wypadek z lwem. Bawiąca w Portsmuth trupa cyrkowa Sangera, zwyczajem przyjętym w Anglii, urządziła dla zareklamowania się, pochód przez główne ulice. Wśród najrozmaitszych ciekawych rzeczy, znajdował się w pochodzie także olbrzymi lew, umieszczony na tryumfalnym wozie, na którym znajdowała się pogromicielka, wyobrażająca postać Wielkiej Brytanii, trzymająca lwa na łańcuchu. Gdy pochód znajdował się już na rynku, przed ratuszem, lew zerwał się z uwięzi, zeskoczył z wozu i popędził w ulice, przepełnione tłumami publiczności, kierując się w stronę parku miejskiego. Powstała panika nie do opisania. Konstablowie, na widok drapieżnego króla pustyni, cofnęli się. Dopiero wdanie się w tę sprawę klownów cyrkowych, położyło tamę grożącemu niebezpieczeństwu; lwa pochwycono i odprowadzono na właściwe miejsce. Pochód odbył się dalej w należytym porządku, chociaż w skutek ścisku kilkanaście osób zostało pokaleczonych.

Pracowity ptak. Na wybrzeżach Francyi żyje ptak, z powierzchowności trochę do kaczki podobny, którego tam nazywają *„tournepierre“.* Ciężko to na życie zarabiające stworzenie. Jeżeli mu się przypadkiem uda zjeść dobry obiad, to możemy być pewni, że zapracował na to. Żyje owadami, które z niesłychanym trudem wydobywa z pod kamieni nadbrzeżnych. Do tej ciężkiej pracy natura dała mu ciało krzepkie, nogi muskularne i krótkie, długie zaostrzone palce, pierś tęgą i szeroką, wystającą jak puklerz. Jeżeli nie może dziobem poruszyć kamienia, pomaga sobie łapami, pcha go piersią. Gdy i to nie pomaga, wydaje ostry okrzyk, na który natychmiast nadbiegają z pobliskich skał towarzysze i do wspólnej zabierają się pracy. Spoglądają na siebie, naradzają się, zachęcają, dają sobie hasło krzykiem i pchają kamień wspólnymi siłami. Jeżeli kamień jeszcze się opiera, wtedy otaczają go, badają okiem, łapą, skrzydłem i z komicznym zapałem skopują ziemię dokoła. W razie nadzwyczajnych trudności nawołują

nową pomoc i pracują dopóty, dopóki skarby, pod kamieniem ukryte, w postaci smacznych owadów, nie staną się ich łupem.

Cudowne ziele. Szliśmy na błota, na których bywa zazwyczaj moc kszyków, dubeltów i kaczek. W pobliżu błót spotykamy chłopa z kobiałką na plecach.

— A skąd ty idziesz? — pyta mój towarzysz.

— Wid woroża, proszu wielmożnoho dydycza.

— A co niesiesz na plecach w kobiałce?

— Ta zile, bo mi żinka duże słabeńka.

— A cóż to za ziele, co krew z niego ciecze? — rzecze mój towarzysz, bo krew istotnie ciekła.

Zrewidowaliśmy chłopu kobiałkę i znaleźliśmy w niej 7 kaczek z poukręcanymi głowami, łapanych na sidełka.

Wszystkich pp. Delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle miłośników łowiectwa upraszamy, ażeby z obecnego sezonu polowań kniejowych raczyli nadsyłać nam szczegółowe i ile możności krytyczne sprawozdania z wyniku polowań.

Redakcya „Łowca“.

Spis rzeczy, zawartych w roczniku 1890, zostanie dołączony do Numeru „Łowca“ z dniem 1. Stycznia 1891.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.